Biblioteka
U.M.K.
Toruń
162512
II

WITOŁD

BUNIKIEWICZ

RAP-SOD

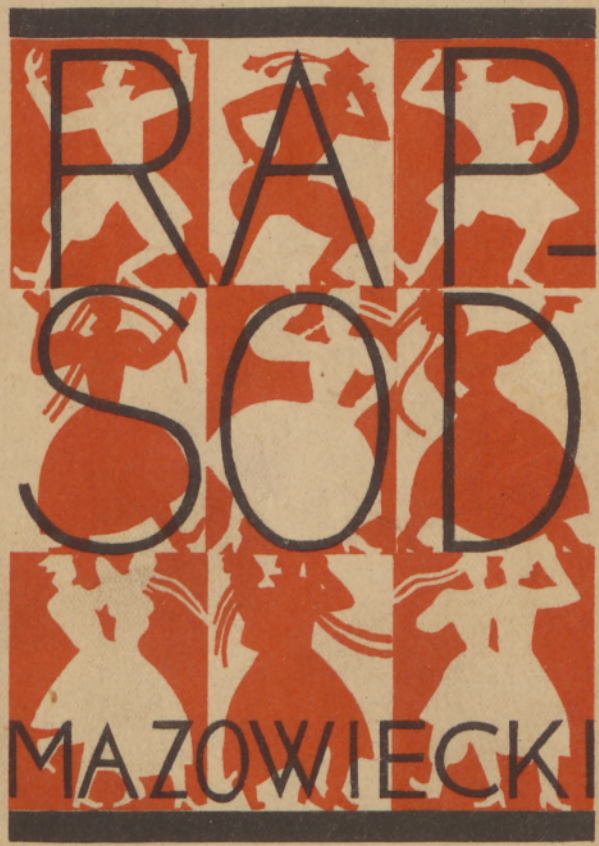

MAZOWIECKI

W-CTWO POLSKIE
R. WEGNER
POZNAŃ

50773

TEGOŻ AUTORA

KOMEDJA OLIMPIJSKA
WIOSNA
ZŁOTE CZASY
PIOSNKI UŁAŃSKIE
SOWIZDRZAŁY
BALLADY
WAZON I RÓŻA
STANISŁAW LENTZ
WSPÓŁCZESNA LIRYKA CZESKA
CUD MIŁOŚCI
ŻYWOTY DJABŁÓW POLSKICH

WITOŁD BUNIKIEWICZ

RAPSOD MAZOWIECKI

[1930]
POZNAŃ
WYDAWNICTWO POLSKIE
* R. WEGNER *

DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ
*
OKŁADKĘ RYSOWAŁ T. ROŻANKOWSKI
*
PRINTED IN POLAND
*

162512
II

BIBLIOTEKA
W TORUNIU
UNIWERSYTECKA

K. 551/51

ŻONIE MOJEJ, MARYSI, POŚWIĘCAM

ROZMOWY Z ZIEMIĄ.

Wychodzi grzeszny człowiek ścieżą między grzędy,
By niebu się spowiadać, z ziemią wieść gawędy,
I posłuchać, gdy szumią zakłoszone pola,
Co za radę mu dadzą i jaka ich wola?

Rozmawia ziemia z człekiem, nieraz groźnie woła,
W dzień inny słodko szemrze, niby pieśń anioła,
A czasem o minionej doli rozpowiada,
Zawsze wdzięczna za służbę — a czasami biada.

I często się zalęknie serce gospodarzy,
Gdy ziemia o nieznanych dniach i jutrze gwarzy,
Trudu łaknie twardego, smutna w poniewierce,
Pragnie ogrzać miłością swoich synów serce.

I tchnąć im takie moce ku przyszłej uciesze,
Iżby pierś jej krajały stuskibne lemiesze,
A skarby zagrzebane pod bryłami w glebie,
Znaleźli, gdy osłabną w doniosłej potrzebie.

A czasem milczy ziemia, obojętna, wraża,
I nie chce znać i słuchać zwierzeń gospodarza,
Martwym piachem połyska rozorana gruda,
Głęboko ukrywając w swej czeluści cuda.

I abyś wyrozumiał, co ci ziemia rzecze,
Musisz serce swe zmienić, nikczemny człowiecze,
Bo gdy ziemia oniemi i milczy zazdrośnie,
Tam bujny kłos dla ciebie nigdy nie urośnie.

RAPSOD NIEBIESKI.

Szturmuje w nieba bramy Lucyfer szalony
I ogłasza się królem ziemi i stworzenia,
Od gwiazd żąda posłuchu, orbit niezmierzony
Depce swemi stopami i bieg słońca zmienia.
I wichrom nakazuje dąć ku swojej chwale
I falom mórz bełkotać imię Lucyfera,
Przeciw Panu nad Pany bunt podniósł zuchwale,
Szaleństwo go ponosi, a pycha rozpiera.

Już pół nieba przyciągnął na djabelską stronę.
I ku tronom niebieskim rzuca straszne moce,
Wyrzeźbił z czarnych mroków berło i koronę
A słońca napotkane łamie i druzgoce.
Zgubę światom roznosi i ciemności ściele,
Światłość gasi oddechem, życie zmienia w prochy,
Aż z trwogi popłakują gromady aniele
I przed Tronem Najwyższym rozległy się szlochy.

Pobladły święte panie, chór aniołów jęczy,
Przelękłe niewiniątka; drży gromadka cała,
Patrząc pełna nadziei, jakby w obraz tęczy,
Na wojska archanielskie i wodza Michała,
Bo gotuje się właśnie straszliwa rozprawa.
I bój, jakiego nigdy nie zobaczą światy,
Już szereg za szeregiem w gotowości stawa
I gromadzi swe siły Lucyfer kosmaty.

Belzebub front ustawia z pieszych i czeladzi,
Turel mosty buduje od gwiazdy do gwiazdy,

Artylerję, ognisty Araziel prowadzi,
A mości Rogaliński szefem czarciej jazdy.
Mefisto poszedł przodem zasięgnąć języka,
A Hejdasz już się wplątał ze strażami w harce,
Rozbił rotę niebieską i dalej pomyka,
Napadłszy w kącie nieba zastrachane starce.

Wiedź nas, święty Michale, na czarcie zastępy!
Skaraj djablą zuchwałość! — szemrzą oficerzy —
— Ramię nasze dość silne i brzeszczot nie tępy!
A najgorzej się zżyma rycerz, święty Jerzy,
Bo zatoczył rumakiem, groty w dłoni ściska,
A z oczu skry mu biegną, jak lawa wulkanów,
Wnetby z hufem się rzucił w skaliste urwiska,
Aby rozbić obozy plugawych szatanów.

Prowadź, święty hetmanie! — huf za hufem woła
I zaszczęka w oręże na wielką ochotę,
Zasępiło się jasne lice Archanioła,
Wie bowiem, w jaką krwawą wdaje się robotę
I ociąga godziny, przewleka natarcie,
Lecz Araziel z stu puszek plunął kul potoki,
Belzebub biegiem popchnął regimenty czarcie,
A z jazdą Rogaliński zajeżdża na boki.

Nie wstrzymają tej mocy święte cherubinki,
Straszy ich tętent kopyt i pióra szyszaków,
Więc strwożone w popłochu mieszają ordynki,
Chroniąc się pod opiekę archanielskich znaków
I wątłe Serafiny opuszczają pole,
Nienawykłe do ciężkich mieczów i kolczugi,
Gdyż sami wolą znosić rany lub niewolę,
Niźliby za ich sprawą miał cierpieć kto drugi.

Cofa się huf anielski — triumfują czarty —
Na sto mil uszedł z pola — huknęły wiwaty —
A Belzebub naciera okrutnie zażarty,
Ognisty zaś Araziel pali wciąż z armaty.
Rogaliński ucieszny, ręce trze z radości,
Iż święty Michał wstrzymał nad Mazowszem szyki,
Bo znane dobrze czartu mazowieckie włości
I wszystkie zna tam drogi i wszystkie przesmyki.

I tamtejszych obłoków nie obce mu szlaki,
Bo nieraz z nich wyczytał pogodę lub słotę,
Więc skinął buzdyganem z piekielnej kulbaki
I rzucił na aniołów djabelską hołotę.
Oparli się niebianie, następują krokiem,
Zlekka w miecze brząkają, śmigając brzeszczotem,
I jak dojrzeć na polu długiem i szerokiem,
Pierzchają djable wojska kładąc się pokotem.

Padł Anan ugodzony i pole zaściela,
Padł Strojnat i Samsawel, Węsad rozwarł chrapy,
Wyrąbany do nogi oddział Azibela,
Wyje Danel z rozpaczy, liżąc obie łapy,
Fugas biegnąć nie może i odbiera chłosty,
Drwią z palby Araziela boscy bombardjerzy.
I zwalają w przepaści Turelowe mosty,
A od prawa z rezerwą ciągnie święty Jerzy.

Rozżarł się Rogaliński na widok rycerza
I nie może przeboleć swych hufów sromoty,
Więc samotrzeć z Ossorją i Gajdą uderza,
Godząc strasznym obuchem w anielski hełm złoty,
Lecz nie złamał się kruszec, tylko zadrgał dźwiękiem

I ledwie ich dotknęły archanielskie palce.
W proch runęli rażeni, strasząc druhów jękiem
I na wieki zostaną już w piekle zuchwalce.

Gdy ujrzały to djabły, pędzą obłąkane
Wprzód siebie i na oślep, jak gonione zbiry,
Jedni łby swe gruchoczą o skalistą ścianę,
Drudzy w otchłań wskakują lub w spienione wiry,
Inni łaski żebrają, chyląc kark w okowy,
Tak bardzo ich niebieskie zwycięstwo przestrasza.
A wtem Michał Archanioł w blaskach purpurowy
Wyjeżdża na bachmacie i pokój ogłasza.

Ryknął wściekle Lucyfer, urwał gwiazdy kawał
I cisnął nim, aż warkła ziemia z dziwu głucha,
Lecz Archanioł, choć djabłom zawsze hardo stawał,
Ugiął się, więc świsnęły głazy mimo ucha,
Lecąc dalej, gdzie polskie kończą się granice.
Z szumem, hukiem, łoskotem grom gnał je i wiatry,
I dotąd jeszcze nagie strzelają iglice
I na znak czarciej klęski stoją groźne Tatry.

Rozpłakały się wszystkie Serafy, Cheruby,
Święte panny łzy leją rzewnie i rzęsiście,
Poco było tej walki, tyle mąk i zguby?
Krople z powiek spadają i płyną srebrzyście,
W strumyki się zbierają i urasta rzeka
Ogromna, co nurt pędzi do samego morza,
Tak Wisła poprzez sławne Mazowsze przecieka,
Bo tam właśnie dotknęła czartów pomsta boża.

LODOWA KSIĘŻNICZKA.

I.

Na krach lodu z północy płynie księżna pani,
Sobolowy płaszcz tuli, srebrna suknia na niej,
A dokoła dziewczęta strojne w djamenty
Mkną na skałach lodowych przez morskie odmęty,
Nie znają odpoczynku, portów i noclegów,
Ile zdolą wiosłują do wiślanych brzegów.

Wichrzyca, służka wierna, korowód popycha,
Aż jej w płucach zakrzepło, tak sapie i wzdycha,
I piersi nie żałuje, dmucha z całej siły,
Byle panny lodowe do ślubu zdążyły,
Bowiem księżna północy tęsknotą trawiona
Z miłości do kochanka uwiędła i kona.

Oblubieniec jej mieszka w mazowieckim grodzie,
Szemrzą fale wiślane o jego urodzie
I słońce, gdy wieczorem za niebem zapada,
Przedziwnie o paniątka sławie rozpowiada,
Przeto ślą mu przez sługi zamorskie królewne,
Najsłodsze obietnice i westchnienia rzewne.

Wysyłała więc księżna białe mewy w posły,
Ażeby pozdrowienie kochankowi niosły
I orły wypuszczała niestrudzone w locie,
Aby mu wykrakały pieśń o jej tęsknocie,
Lecz nim ptaki nad basztą grodu zaszumiały
Marły, bowiem myśliwych przeszyły je strzały.

Kto te orły zabija? Kto te ptaki rani?
Chce wiedzieć i codziennie rozpytuje pani,
Lecz nie umie wyjawić żaden człowiek żywy,
Kto jest ów celny strzelec i krwawy myśliwy.
A księżnie żal zwierzyny, co zginęła marnie,
Choć zazdrości jej doli i znosi męczarnie.

II.

Dobrze dzień ów pamięta, zapomnieć nie może,
Widziała go raz jeden na Olafa dworze,
Kiedy przywiózł królowi z nadwiślańskich grodów
Pełne kutry pszenicy, owoców i miodów,
Wzamian za wory srebra oraz sztaby złote
I niczem niezwalczoną dziewczęcą tęsknotę.

Przyrzekał, że powróci, gdy odtaje rzeka,
Cały rok już przeminął, a księżniczka czeka,
Rychło wicher zadudni z południowej strony
I korab się pojawi kwiatem umajony,
Masztami zachyboce nad morską głębiną,
Darząc jej biedne serce radosną nowiną.

I cały rok słuchała w niezmiernej boleści,
Czy morze jej uciesznej nie ogłosi wieści,
Że wiosna mazowieckie nawiedziła kraje,
I rzeka z lodowego sprzężaju już taje;
Lecz daremne ułudy i wszelkie nadzieje,
Wichr jeno śniegiem parska i mrozami zieje.

Nie zjawił się wieczorem, przyjdzie jutro rano,
Więc dziewica bogate szykuje mu wiano
I naszywa na sukni i srebrnym welonie

Sznur brylantów, co z oczu łzą pociekł i płonie
I cieszy się, że kiedyś do księcia dopłynie,
Po brzeg pełne perłami przywożąc mu skrzynie.

I czekając kostnieje, marznie w lodów bryły,
A północne śnieżyce płachtą ją okryły,
Wraz zastygły służebne i z żalu zmartwiały,
Przywarte nieruchomo do zakrzepłej skały...
Nie przyjdzie oblubieniec, bo go straszą lody,
Więc sama doń podąży na weselne gody!

Taką myślą maniona uśmiecha się cudnie
I z prądem lodowatym pędzi na południe,
Kędy słońce oddechem ciepłych aromatów
Potrząsnęło miljonem drzew i ławą kwiatów
I marząc jak w ramionach miłego utonie,
Przez morze do kochanka wyciągnęła dłonie.

III.

Przebiega ślubny orszak, aż śmieją się zorze
A książę w słoneczniki strojny i w bisiorze,
U wozu jarzmo wołów zielenią owite,
Z najpiękniejszych młodzieńców dobrał sobie świtę
I na północ lodową powłóczy oczyma,
Bo złożył obietnicę i słowa dotrzyma.

Zahuczały w dąbrowach skrzypce i piszczały,
Jakgdyby na weselu paniątka grać miały,
Skłoniły się przydrożne wierzbiny i grusze,
Równiny pochyliły zbóż swych pióropusze
I lodową księżniczkę zapraszają czule,
Sady krasne owocem i w pasiekach ule.

Książę jedzie do ślubu, kuter rozpiął płótna,
Lecz nagle zadmuchała wichura okrutna,
Opadły słoneczniki i zielone wieńce,
Mróz wypił ciepło serca i zgasił rumieńce,
Pola śniegiem posrebrzył, rozsiał djamenty.
Zmarł książę oblubieniec, tchem lodowym ścięty.

Tysiąc lat przeminęło, drugi tysiąc bieży,
A panna młoda krąży po wodnej rubieży,
Sobolowy płaszcz tuli, perły lśnią w skarbonie,
Wygląda oblubieńca w mazowieckiej stronie,
A taka w niej ukryta niszczycielska siła,
Że świat gubi, jak niegdyś kochanka zabiła.

Gdy do brzegów się zbliży lodowa galera,
Cała ziemia się kurczy i z mrozu zamiera,
Zatrzymuje się w pędzie zamarznięta rzeka,
Wicher świszcze po polach i głośno narzeka,
A ludziska, przy ciepłym ściśnięci kominie,
Czekają, aż księżniczka na północ odpłynie.

BALLADA O GRZESZNEJ MIŁOŚCI I POKUCIE.

Od mnogich pisze lat,
Na płockim zamku mszał
Benedyktyński brat,
Gdyż kneź Wodzisław chciał
Zadziwić ziemi krąg,
Iżby nietylko pól,
Lecz także pięknych ksiąg.
Zazdrościł rzymski król.
Więc żak się para robotą,
Pomieszał barwy i złoto
I przymknął na życie oko,
Lecz w duszę sięga głęboko
I z zasłyszanej powieści,
Zjawę w widzeniach swych pieści.

Pożółkł pergamin ksiąg,
Lecz jeśli duszę masz,
Dojrzysz jak dwoje rąk
Wciąż jedną kreśli twarz,
Żywej wierności ślad,
Chociaż postaci sto,
Cały się zamknął świat
W kart purpurowe tło.
Gdy rozpuści snop warkoczy,
Księżyc zawstydzony kroczy,
Bo na oczu jej błękicie,

Lazurowych nieb odbicie,
A jej włosów złote strugi,
Jakby słońca połysk drugi.

I innych nie zna mar,
I nie chce innych mieć.
Raz wśród okiennych szpar,
Gdy rozpoczęło dnieć,
Ujrzał jej kruchy cień,
W odblasku wszystkich kras,
Ten najpiękniejszy dzień,
Czy wróci jeszcze raz?
Zda się widzi ją zdaleka,
Gdy polami gdzieś ucieka,
Ponad Wisłą, ponad borem,
Gdy czaruje swym ubiorem,
W najstraszniejszej zawierusze,
Opromienia żaka duszę.

Stoi u Wisły stóp
Dom z wyciosanych brył,
A zimny jest, jak grób,
Lecz samo słońce skrył,
Choć grubych łomów cios,
Przytłumia dźwięk i ruch,
Codzień tam szemrze głos,
Ponętny dla serc dwóch.
Kiedy pieści, kiedy szuści,
Z poza murów złej czeluści,
Dźwiękiem harfy, drżeniem cytry,
Upojony szałem, chytry,
I przelata, jako burza,
Duszę pęta, myśl odurza.

Wiem, żeś ty żaden zwid,
Szepce zmaniony brat,
Świat mi przy księgach zbrzydł,
Skruszę żelazo krat,
Wiosny rozlany dech,
Obmierzły murów chłód,
Choć duszę płoszy grzech,
Silniejszy ust twych cud!
Skoro wieczór się wyłoni,
U wiślanej czekam toni.
I na barce ciemną nocką,
Ominiemy basztę płocką,
Przelecimy poprzez głębie,
Jak na skrzydłach dwa gołębie.

Książę kujawskich ziem,
Przyjmie wędrowców w dom.
Nie cofnę się przed złem,
A z tobą miły srom.
Już nocy pełznie mrok,
Zazgrzytał kiucz u bram,
Schodzisz nad rzeki stok,
O raju, witaj nam!
Spieszy brzegiem jasna pani,
Susem wilka, krokiem łani,
Bursztynowych włosów sploty,
Mai księżyc szczerozłoty,
Poprzez skały i odmęty,
Świecą źrenic djamenty.

Twe oczy mroczy szał,
Stój, z drogi jeszcze wróć,
W cieniu nadbrzeżnych skał,

Pod żaglem stoi łódź.
Gdzie pędzisz? Głębia, wir,
Śmierć pewna, nurt bez dna,
W zamku się ocknął zbir.
I sfora psów nas gna.
Nadaremnie szczuje psami,
Rzeka toczy się przed nami,
Szumem woła, bluzgiem wabi,
Majaczeje burt korabi,
A przewoźnik, blady, siwy,
W kraj powiezie nas szczęśliwy!

Już wioseł słychać stuk,
Barkę kołysze prąd,
Kto wstąpi na jej próg,
Nie wraca już na ląd,
Kochanku, pierścień bierz,
I spojrzyj w moją twarz...
Ryknęły trąby z wież,
Książęca biegnie straż.
Nie dopędzi, nie powstrzyma,
Woda kłębi się i zżyma,
Wiry pieni, skały ryje,
Łódź do brzegu nie dobije,
Lecz przez wieki po głębinie
W nieskończoność ciągle płynie...

POSŁANIE:

Widują łódź rybacy, widują łódź pielgrzymi,
Na burcie stoi sternik ponury i olbrzymi,
Obwozi ciągle barkę po nurtach brudnej toni
I złączyć się uściskiem kochankom smutnym broni,
Tak długo wozić będzie poprzez odmęty wraże,
Aż winę omanienia tęsknota z serc ich zmaże.

KOLĘDA.

Na dziarnowskim polu świszcze wiatr bez miary,
Grają piszczałeczki przedziwne fanfary,
Huczą wiatry w surmy, jak z krakowskiej wieży,
Na cześć Chrystusowi, który w żłóbku leży.

Wyszedł stary Gurda, spogląda i słucha,
Że na bożym świecie mróz i zawierucha
I niezmierna troska serce mu ugina,
Bo może w stajence zamarznąć dziecina.

Toby się dopiero stała wielka szkoda,
Ku wielkiej uciesze pogan i Heroda,
Gdyby Odkupiciel umarł w Betleemie,
Zanimby wybawił od szatana ziemię.

Mróz rózgami siecze, śniegu tuman kurzy,
Kto ogrzeje Pana i kto Mu usłuży?
Spoczywa na sianie w mizernej oborze,
A tu-by królował w najpiękniejszym dworze.

Grzeje go Maryja własnym tchem i ciałem,
Na Mazowszu spałby pod giezłeczkiem białem,
I w złotej kolebce słuchał kołysanek,
Któreby nuciły chóry Mazowszanek.

Przeto skrzyknął Gurda z całej okolicy
Najprzedniejszych kumów do swojej świetlicy
I tam bez namysłu uchwaliła rada,
Iż Chrystusa Pana ratować wypada.

I Najświętszą Pannę uprosić przez posła,
Aby się nad Wisłę z dzieciną przeniosła,
Bo wiadomo przecie, że jak świat daleki,
Lepszej niż w Mazowszu nie znajdzie opieki.

Więc chłopy się zaraz gotują do drogi,
Aby długo nie ziąbł Chrystusik ubogi,
I ze skrzyń kobiety wydobyły szatki
Dla Panięcia w żłobie i Najświętszej Matki.

*

Poszli gromadą po Chrystusa,
Odrazu z miejsca pędzą kłusa,
Minęli liczne wsie i grody,
Przebrnęli puszcze, bystre brody,
Lecz czart nie traci jednej chwili
I pląta drogi, by zbłądzili.

I wciąż przeszkody nowe ciska,
Niezmierne gąszcza i bagniska,
I sięgające do chmur skały,
Na drodze djabły rozsiewały,
Lecz się gromada nie użala,
Ale zapory ciężkie zwala.

I przeszła zima, wiosna, lato,
Świat się jesienną okrył szatą,
A Czubak umęczony srodze,
Przechodniów pyta się po drodze:
— Hej, jak daleko ta kraina,
Gdzie Marja porodziła Syna?

— Stąd nie zobaczysz, człeku drogi,
Do kolan uchodzicie nogi,

Już zgórą dziesięć lat ucieka,
A podróż jeszcze wciąż daleka,
Więc Gurda do swej prawi rzeszy,
I jak rozumie, tak pocieszy:

— Niech wam zwątpienie serc nie żłopie,
Zdrowo się chowa Święte Chłopie,
Bo jako dębczak rośnie w moce,
Siły piekielne w kruch zdruzgoce,
I gorzkie sobie słodzi chwile,
Zrywając figi i daktyle.

A potem znowu rzekł Pierzchała:
— Mija dwudziesty rok bez mała,
Odkąd błąkamy się po świecie,
Aby przywitać boskie Dziecię,
Gwiazda prowadzi nas zbrodnicza,
Darmo szukamy Królewicza.

Jeszcze trzynaście lat przeminie,
A wszystkie przebrniem już pustynie,
I męża w chwale napotkamy,
Przed którym drżą piekielne bramy,
Więc, gdy na płockim zamku siędzie,
Odrazu nam królować będzie.

O, Moiściewy — w słońca złocie,
Trzy krzyże widzę na Golgocie,
Gwoździami Mu zadają rany,
Hej, do berdyszów, Mazowszany!
Na przełaj! Biegiem! Do odsieczy!
Jeszcze się Jezus z ran wyleczy!

O, Moiściewy — słońce w chmurze —
Zbiry podnieśli Krzyż ku górze,
Pod Krzyżem Matka Boleściwa
W dłoniach spłakaną twarz ukrywa,
Przed synem gorzkie łzy zasłania,
By mu oszczędzić mąk konania.

O, Mazowszanie — z wichrem w gony!
Chrystus już żółcią napojony,
Lancą do boku żołdak zmierza,
Obuchem rozbić łeb żołnierza.
O, Moiściewy — martwość głucha,
Królewicz nasz wyzionął ducha!

*

Deszczem płacze niebo, szumi smutnie rzeka,
Do Dziarnowa wraca orszak i narzeka,
Zasępiony Gurda, Czubak i Pierzchała,
Ciężko wzdycha Tomczak i gromada cała.

Nie śmią podnieść oczu z wstydu i sromoty,
Iż nie mogli Chrysta ustrzec od Golgoty,
W ręku niosą krzyże, w misie krwi drobinę,
Którą przelał Jezus za płocką krainę.

A kiedy przechodzą przez rozstajne drogi,
W ziemię krzyż ubija wędrowiec ubogi,
By każdy, kto znak ten spojrzeniem ogarnie,
Pojął, jakie Chrystus przecierpiał męczarnie.

Jakiż dziw niezwykły, cud nie bylejaki?
Na dziarnowskie pole przybyli junaki,
Wędrowali światem pielgrzymowie wierni,
A zamiast siwizny, bujny włos się czerni.

BIBLIOTEKA W TORUNIU UNIWERSYTECKA

Gdy ruszyli w podróż minęło pół wieku,
Co się z nimi stało — dziwuj się człowieku!
Nie poznają ludzie Gozdanka — kulasa,
Odrzucił precz kijek, po dziedzińcu hasa.

Wyszedł Gurda starcem, a wraca młodzieńcem,
Grzelakowi lica kraśnieją rumieńcem,
I po wieki wieków odrodzeni będą...
Taką ich Pan Jezus obdarzył kolędą,
Hej kolęda, kolęda!

BIAŁE CZAROWNICE.

Szumi bór nad wodą, wicher dęby zgina,
Od dobrzyńskich murów zła idzie nowina.
Ludzie jako widma, przelękłe maszkary,
Oszalał na zamku niemiecki wódz stary.

Nawiedziły ziemię złe, djabelskie siły,
Białe czarownice Wisłę mu wypiły,
Wypiły mu z krynic i z strumieni wodę,
Gdzie konie napoi i wypędzi trzodę?

Poschły zbożne łany i na ługach trawy,
Głodny zwierz powędrował z lasów na Kujawy,
A w granice zaziera i krąży nocami,
Mazowiecki książę z swymi witeziami.

Skomlą psy u bram zamku i wyją w niebiosy,
Czarownice wypiły wszystek deszcz i rosy
I zmówiły się z słońcem i z lipcową spieką,
Więc dobrzyńską ziemię płomieniami sieką.

I wiedzą panowie, knechty, wojsko całe,
Iż te żary sieją czarownice białe,
I polami chodzą o północnej głuszy,
A każda sto łanów warkoczami suszy.

Z tyluż piersi każda wszelką żywość bierze,
Więc panowie smętni, markocą rycerze
I nie jeden pacholik za murem się błąka,
Ścigając czarownice jak jastrząb skowronka.

I nowy grom na zamek padł,
Po Fournivalu przepadł ślad,
Pan Comte de Lisle odłożył miecz
I z grodu nocą uciekł precz.

Therbouche, Roslin i Heinrich graf,
Wyschli jak kiść uwiędłych traw,
A Boolinbroka ujął szał,
Iżby każdego rąbać chciał.

I nowy grom uderzył znów,
Zbuntował się ardeński huf
I poszedł, gdzieś na świata zrąb,
Wśród bicia bębnów, ryku trąb,

A każdy z mężów, chłop na schwał,
Złocisty kask z piórami wdział
I ubrał płaszcz z lamparcich skór,
A w drogę wiódł ich pan La Tour.

I nowy grom ugodził w gród,
Pan Scarborough swój zabrał lud
I baron Ryx i Ryszard Szkot,
I Mściwoj, rab z pomorskich błot,

Aż u bram zamku stał się tłok,
Tak każdy parł rumaka w skok,
A wiernych pozostało dwóch:
Sam stary graf i Zollern druh.

Rzekł graf: Nikogo nie oszczędzę,
I krwią zabroczę sypki piach,

Więc kazał zbrojnej swej potędze,
Przygnać na zamek wszystkie jędze
I wieścić grozę, rzucić strach.

Poszli na wzgórza i rozłogi,
Pognali w pola, w czarny bór,
Gniewnie pojechał Zollern srogi
I przysiągł zdławić, zdeptać wrogi,
Tak, jako smoka święty Jur.

Wódz udręczony patrzy, czeka,
Rychło u blanków ryknie róg,
Nie łatwa droga i daleka,
Dzień jeden przeszedł, noc ucieka,
Konie zmęczone, chytry wróg!

I noc przechodzi, znów dzień mija,
A cisza u zamkowych bram,
Tuman się z pod Rokicia wzbija,
Od Myśliborza zbroja czyja?
Wracają już! Co niosą nam?

Oprawcę graf na majdan woła
I każe suchych nakłaść drew,
W konwiach po brzegi palna smoła,
Nagotowano pal i koła,
Z czarownic sączyć będą krew...

Nieudane krwawe łowy,
Przyszedł jeden i powiada:
Wodzu — wybacz — wśród dąbrowy,
Oglądałem dziw nielada.

U wrót wiedźmy, na swej tarczy
Roslin wsparty, gniewem pryska
I jak wściekły pies zawarczy,
Gdy na wiedźmę spojrzysz z bliska.

Przyszedł drugi i powiada:
Wodzu — daruj — próżne chody,
Z białą wiedźmą nieporada,
Bowiem przy niej Therbouche młody.

Przepatrzyłem wskróś dąbrowę,
Na nic trudy — wodzu, grafie,
Ledwiem cało uniósł głowę,
Przywlec wiedźmy nie potrafię.

Jedną Ryszard się zachwyca,
Drugą pan Boolinbrok strzeże,
Kędy jaka czarownica,
Zaciągnęli post rycerze,

Lecz uznanie wodza zyska
Zollern, nową zdobny chwałą,
Bowiem przywiódł do zamczyska
Na powrozie wiedźmę białą.

Czarownicę oprawca wlecze za warkocze
I za chwilę niebogę biczem połaskocze,
Aż zczerwieni się złoty piasek na majdanie...
Błaga wiedźma i szepce: Miejcie zmiłowanie!

Jak gołąb konający pod sokoła szponem
Tak zadrżała i okiem powiodła strwożonem,
A panom się wydało i knechtom ze świty,
Iż te oczy piękniejsze niż raj i błękity.

A kiedy zdarł oprawca z ramion szatkę białą,
Zaszemrały szeregi dziwem i pochwałą,
I niejeden pomyślał z rycerskiej drużyny,
Że tak w niebie wyglądać muszą Cherubiny.

Czemuż dzwony nie dzwonią, wódz nie daje znaku,
Jeno popręg poprawia na wronym rumaku
I kopję w ręku ściska i zwleka rozkazy,
Aby dziewkę katowskie poszarpały razy?

Wtem Zollern niecierpliwy skinął swym oszczepem,
Kat uniósł bicz i — runął z rozbitym czerepem,
A nim okrzyk na wargi zdumionych wypłynął,
Wódz pętlę ciął i z wiedźmą w nurtach Wisły zginął.

I fala zahuczała, grom przeszył obłoki,
Wir się skłębił pianami szeroki, głęboki,
A na brzegu kujawskim w bezpiecznej stanicy,
Wódz głowę siwą schylił do stóp czarownicy.

MOCARZE.

I.

Jedzie król zobaczyć, dokąd Wisła zmierza,
Już stanął na postój u bram Sandomierza,
A wraz jadą kniazie, nie spuszczają oka
I mierzą, czy Polska wielka i szeroka?

A królowa Sonka zagadnie bojary:
— Lackie władztwo takie ogromne, bez miary,
Choćbyś stu sokołom wyszarpał źrenice,
Nie dojrzysz, gdzie jeszcze kończą się granice.

Gdyby lackim wojskom wziąć kopje, topory
I w ziemię powsadzać, wyrosłyby bory,
I taka-by wtedy powstała gęstwina,
Iżby przez nią marna nie przemknęła psina.

Gdyby zebrać skarby przyszła mi ochota,
Mogłabym zbudować monastyr ze złota,
A w nim z djamentów wystawić ołtarze,
Tyle mi bogactwa nasypano w darze.

Jedzie z Sandomierza pysznych panów świta,
Na Mazowszu radzą czem ją kto przywita,
A najgorzej łamią Łęgowianie głowę,
Jakby najprzystojniej ugościć królowę.

Królowi podadzą miody doskonałe,
Królowej zaścielą łoże pod powałę,

Sam kucharz krakowski ich czombrów nie zgani,
Lecz gdzie się pomodli miłościwa pani?

Drobiniaków troska okrutna owłada,
Chyba z wstydu cała spali się gromada,
Bo królowa z nimi nie siędzie do stoła,
Jeśli nie zobaczy w Drobinie kościoła.

I ten sam frasunek Gralewszczan rozpycha,
Nie spojrzą na jadło, ani do kielicha,
Bo królowa pewno Gralewo ominie,
Gdyż nie zechce bawić u pogan w gościnie.

II.

W stół rąbnął Gawłosz stary,
Aż pękło szklanic szkło,
Pleczyste dźwignął bary
I ręce jak konary,
Co dęby w dwoje gną.

I synom swym powiada:
— Próżniactwa na dziś dość!
Prosiła nas gromada,
Odmówić nie wypada,
Królewska jedzie Mość.

Zbudujem trzy kościoły,
Z wieżami, aż do chmur,
Rozpocząć trza mozoły
I rąbać z skał cokoły
I ciąć na belki bór.

W dwa dni wzniesiemy ściany,
A w trzeci wieżyc strop,

Niech wiedzą dworskie pany,
Co znaczą Mazowszany,
Że żwawy u nas chłop.

I poszedł starszy w lewo,
A w prawo młodszy brat,
Łęg, Drobin i Gralewo
Czeka, jak cios i drzewo
Mistrz będzie pod tum kładł.

A stary Gawłosz rzecze:
— Kruszkę bym zjadł i pił,
Bekę gorzały wlecze,
Tłustego wołu piecze,
Aby nie opadł z sił.

Roznieśli wieść flisacy,
Drwią głośno ludzie źli,
Śmieją się Zawiślacy,
Że Gawłosz tyle pracy,
Chce w trzy wykonać dni.

Takiego jeszcze dziwa,
Nie widział ludzki ród,
Pielgrzym pielgrzyma wzywa,
Ciekawych pełna niwa,
Śpieszy oglądać cud.

Dotarła wieść nielada,
Do sandomierskich bram,
Królowa Sonka rada,
Bo kniaziom rozpowiada:
— Takich mocarzy mam!

III.

Huczą po Mazowszu łomoty i stuki,
Kładzie się sosnina, upadają buki,
I dęby olbrzymie topór tnie i wali,
Gawłosz przytakuje i synaczków chwali.

Będzie kościół wielki, będzie tum wspaniały,
Pryskają na kruchy, conajgrubsze skały.
I piasku kurzawa wzbiła się pod chmury,
Tak starszy synaczek rozrąbuje góry.

Jeden rąbie ciosy, drugi kładzie belki,
Furczy głaz i skały lecą jak wróbelki,
Poprzez mil dwanaście przelatują kraje,
Tak synaczek ojcu kamienie podaje.

Zdziwieni panosze, truchleją kobiety,
Od Osieka suną dęby jak komety,
Pod chmurami śmiga sośnina za sosną,
Mury już gotowe i sklepienia rosną.

Nie oszczędza Gawłosz trudu i starania,
Do pośpiechu jeszcze synaczków pogania,
A gdy krzyknie: Dalej, podawajcie żywo!
Jakby piorun leciał mazowiecką niwą.

Takim grzmotem huczy i w uszy uderza,
Iż ludzką krew mrozi i przeraża zwierza,
I drżą, jakby wichrem potrącone drzewa,
Gdy mistrza mocarne wołanie rozbrzmiewa.

Będzie kościół wielki, stanie tum wyniosły,
Już kłody i skały w wieżyce się zrosły,
Złocisty krzyż zawisł nad szczytami w przedzie,
By zbłąkanym wskazać kędy droga wiedzie.

Gdy trzy dni minęły, uderzono w dzwony,
Zdążą huf królewski w mazowieckie strony,
Radośnie wawelska postępuje świta,
Bo zbożną muzyką Mazowsze ich wita.

A królowa Sonka przemówi w te słowa:
— Bojarzy, rozgłoście, aż do bram Kijowa,
Iż niema mozołów, ani takiej pracy,
Którejby nie zmogli łackich ziem junacy.

TRZY ZBÓJNICE.

Żyły przykładnie siostry trzy,
W dworzyszczu żyły społem,
A były złe, jak wściekłe psy,
Więc każdy mijał kołem
Dwór, gdzie mieszkały siostry trzy,
Za rowem i cokołem.
Najmłodsza przędła powrozy,
A druga ostrzyła noże,
Najstarsza pełna grozy,
Liczyła skarby w komorze.

Co rana, razem, ze swych baszt
Patrzały, czy wśród wirów,
Nie zbliża się jakowyś maszt
Kupców, lub obcych zbirów,
A łódź nie siadła w cieniu baszt,
Na rafie z pni i żwirów?
Najstarsza gości spraszała,
Najmłodsza ścieliła łoże,
A średnia za stół sadzała
I cichcem ostrzyła noże.

I zanim nowy błysnął brzask,
Nie było gości w grodzie,
Jeno ktoś słyszał straszny wrzask
I widział krew na wodzie,
I kiedy błysnął nowy brzask
Znów praca wrzała w zgodzie.

Jedna zwijała powrozy,
Średnia czyściła noże,
Najstarsza, pełna grozy,
Chowała skarby w komorze.

*

Do Płocka rzeką kuter płynie,
Po bystrej chwieje się głębinie,
Złoconym dzióbem nurt rozpiera,
Błękitna na nim lśni bandera,
Wiezie bursztyny i bławaty,
Dla mazowieckich pań na szaty.

O hej, na rafę fala zniosła
I ster strzaskany, pękły wiosła,
Z grodu wyślijcie nam czeladzie!
Kuter się na mieliźnie kładzie...
O, hej! gdzie jaka dusza żywa,
Śpieszcie, królewski kaper wzywa!

Witajcie! Starsza siostra woła,
A druga prosi go do stoła,
Najmłodsza, patrząc, płonie cała,
Albowiem w śnie go raz widziała...
I społem wpiły weń źrenice,
Jako w gołębia trzy orlice.

Najstarsza powie młodszej siostrze:
— Sama mu w serce wbiję ostrze.
A druga obu siostrom rzecze:
— Zostawcie mi go, nie uciecze,
Nim błysnie pierwszy promień rana,
Krwią się zczerwieni toń wiślana.

Najmłodsza siostra odpowiada:
— Przygotowana już biesiada,
Naleję wina w srebrne kruże,
Cierpkim napojem go odurzę
I, zanim wejdzie dzionek biały,
W nurt padnie nagi trup ze skały.

*

Ułożył kaper głowę w puch,
Spoczywa na makatach,
A u wezgłowia, niby duch,
Najmłodsza trwa na czatach
I, zamieniona w wzrok i słuch,
Czyjś łowi krok w komnatach.
I nagle krwią się zalała,
I starszą przeklina siostrę,
Pierś jej zbroczona cała,
A w sercu żelazo ostre.

Szept żarkich słów przelata próg,
W sąsiedniej cichnie sali:
— Żebrząca klęczę u twych nóg,
Korniejsza od wasali
I chcę najlichszą być z twych sług,
Druga się siostra żali.
I w gardle jej słowo kona,
Śmiertelnym spowite mrozem,
Padła na ziemię, zdławiona,
Najstarszej siostry powrozem.

Kochanku, słodko zbiegnie wiek,
Nie pójdziesz już na morze,
Ostatni wróg porażon legł,

A skarbów dość w komorze,
Kuter pod dobry przybił brzeg.
Nie chcesz? — Ulituj Boże!

*

Do Płocka falują maszty
I prują głębie sine,
Z przekleństwem wali się z baszty,
Najstarsza siostra w głębinę.

SPOWIEDŹ GOZDAWY.

Spowiadać się Gozdawie na starość przystało,
Trzepie się w nim dusza i osłabło ciało,
Przed oczy wyłażą, co najgorsze grzechy,
A znikąd nadziei, ni marnej pociechy.

Zawołał Gozdawa lutnistę i rzecze:
— Zagraj takie pieśni, od których łza ciecze,
Niech choć raz przed skonaniem duszę przejmie skrucha!
Lutnista brzęknął w struny, a Gozdawa słucha.

Aż wiernym druhom w sercach smutno i ponuro.
Zda się każdy dzień życia przysłoniony chmurą
I wszystkie blaski zgasły w czelustnej głębinie,
Gozdawa słuch natężył i okiem nie skinie.

I dziwna zatwiardziałość osiadła mu w duszy,
Pewnie starzec skamieniał, jeśli go nie wzruszy
Opowieść o tej dziewce, co nad życie miła,
Pohańbiona sromotnie w mogile się skryła.

I ani razu z żalu nie drgnęła powieka,
Gdy lutnista wciąż mocniej płacze i narzeka,
Wspominając te męki ponad ludzkie siły,
Co mu bólem serdecznym włosy posrebrzyły.

Hejże, mości lutnisto, płoche twoje dzieje,
Nad Wisłą dom ojcowy w zieleni bieleje,

I matka najmilejsza w progu syna wita,
Wszystkiego nie utracił jeszcze Gozdawita.

Niema domu w zieleni, przyorane ślady,
Gdzie bielały świetlice, dziś lęgną się gady,
Stary dąb zwiesił konar zwęglony jak kiry,
Rozwłóczyły dostatki pomorzańskie zbiry.

Jeszcze dotąd skał echo jęk powtarza głuchy,
Gdy rodzic klął swą dolę zakuty w łańcuchy,
A macierz, niby szczwana wilczyca na stepie,
Łuczywem wykapane rozkrwawiała ślepie!

— Poniechaj takich wspomnień, oko łez nie roni,
Na pociechę pozostał krzepki oręż w dłoni
I zemsta, co dostatnio nasyciła żale,
Gdym raubirzów ćwiartował i wbijał na pale.

Lecz i oręż wydarto i rycerską sławę...
Pozwał cesarz na turniej mężnego Gozdawę,
I stanęli panowie z godłami swojemi,
Pokazać, kto najlepszy jest rycerz na ziemi.

Wyskoczył na rumaku w szranki Gozdawita...
— Co za przybysz? Zkąd rodem? — Cesarski dwór pyta.
— Pyszny witeź przybywa z nadwiślańskich grodów,
Rozsławić mazowiecką ziemię wśród narodów.

A przy pierwszem zetknięciu zadrżeli baroni,
A przy drugiem obłudnie wydarto miecz z dłoni

I podstępnie go spętał pacholik ubogi,
Cisnąwszy na szyderstwo pod cesarskie nogi.

Triumfem zahuczeli grafy i rycerze,
Zuchwale pobrzękują w miecze i puklerze
I zmówili się dążyć za Gozdawą w tropy,
Aby złożyć Mazowsze pod cesarskie stopy.

Zatrzymał się lutnista, sam pełen wzruszenia
I widzi, że oblicze starca się nie zmienia,
A nawet uśmiech pełza po kamiennej twarzy,
Pewno rycerz zwycięstwo jakieś dawne marzy.

I nie widać łzy w oczach, ani w duszy bolu,
— Pokazałem im znak mój na Grunwaldzkiem polu,
Iż marli, wyjąc słowa grozą obłąkane
I posoką zmywali me godło zbrukane.

Huczą Kyrieelejsze i łomocą młoty,
Pędzą z szumem proporce i żelazne roty,
Jakgdyby się dwa słońca starły wśród przestworzy
I walczą, które piękniej oświetli świat boży.

I sprężyły się niemo, aż zakrzepły w sile,
Stęknął granit i bryły pękają po bryle,
Załamały się góry, trzeszczą u podnóży,
A zwycięzki huragan rwie naprzód i burzy.

O dalej, jeszcze dalej — wspomóż Gospodynie!
Kto zdoła rozpętanej oprzeć się lawinie?
Morze szumi i białe korabie chybota.
Otwarte na przestrzenie bursztynowe wrota.

Czemu bieg swój wstrzymali i nie prą z kopyta?
Lutnista puścił struny i tonów nie chwyta,
A żalem niezmożonym drga serce junacze,
Gozdawa zwiesił głowę bezradnie i płacze.

ROMANS LUDKI.

I.

Ma Krystyna lutnistę, ma go Sciborowa
I pani na Mniszewie i Niemiry żona
I Śliszka, Gotardzianka, każda białogłowa,
Ale księżna Mazowsza, Ludka, pokrzywdzona.

Nucą paniom rozkoszne przy lutence trele,
Aż serce się weseli, a czasem płacz wzbiera,
Bowiem smętek śpiewają i uciechy wiele,
Gdy szydzą z niejednego kpa lub bohatera.

Nawet Anna Cieszyńska dumna ze śpiewaka,
Bo sławi zez jej oka i bruzdy na twarzy,
Tylko Ludka wzgardzona, pani bylejaka,
Choć stu grafów cesarskich o jej krasie marzy.

I gotowi rozszczepić łeb temu przecherze,
Któryby śmiał powiedzieć, iż na ziemskim globie
Inna jakaś niewiasta nad nią górę bierze
I chowa się w wznioślejszem pięknie i ozdobie.

Lecz nad Ludką w podziwie mąż się nie pochyli,
Niemy na kwiatu wdzięki i modrych ócz błyski,
Więc na czcze miłowanie nie zmarnuje chwili,
Ani jej nie uraczy ciepłemi uściski.

Smakuje konwią wino i próbuje miody,
Harce gwarno wyprawia i grube zapusty,

Odyńce w lasach goni i najeżdża grody,
Lecz nigdy jej nie dotknie miłosnemi usty.

Sobie samej obrzydła mazowiecka pani
I po długiej rozwadze sromotę odgadła,
Że każdy ją, jak wiedźmę, odepchnie i zgani,
Choć inną rozgaduje gadkę lustr zwierciadła.

A wraz z panem małżonkiem opita gromada,
Po salach się zatacza i zwala do łóżek,
I żaden o najsłodszych snach nie rozpowiada,
I nie widzi jej rączek, ani drobnych nóżek.

Nawet, gdy opat Rajmund przywiózł jej zdaleka
Błam barwisty a cieńszy niż siatka pajęcza,
Nie widziałeś w książęcym orszaku człowieka,
Któryby zgadł, iż Ludka stąpa w nim, jak tęcza.

Więc szczerze się litują światłe białogłowy,
Mądry Rajmund przemyśla i waży zamiary,
Wtem brzękły na majdanie złociste podkowy
I obcego przybysza witały fanfary.

II.

Dziwnie gładkie przybysza oblicze,
I w kędziory wijące się loki,
Na dworzanki roztoczył uroki
I marzenia rozdmuchał dziewicze.

Miecz go męczy i nuży lot koni,
A o łowach z odrazą wspomina,
Bowiem w myślach mu inna zwierzyna
A więc za nią spojrzeniami goni.

Pełną dziwu obdarza pochwałą,
Ludkę ślicznie czaruje słowami,
Zachwyconą źrenicą ją mami
I piosenką upija nieśmiałą:

— Twoja krasa, to perła bez skazy,
Twe stąpanie, jak zefir szeleści,
A z postaci czar bije niewieści,
Iż drży dusza i milkną wyrazy.

Nikt piękniejszych nie nosi jedwabi,
I nikt wdzięczniej swych rączek nie składa,
Każda gwiazda przy tobie jest blada
I błysk słońca rozkoszą nie wabi. —

Tak jej prawi od zmierzchu do rana,
A gdy zamek pogrąży się w ciszę,
Ludkę do snu trel cudny kołysze,
Pewnie ptaka, albo też młodziana.

Omal z szczęścia jej serce nie pęknie,
Przez okiennic wychylona kraty,
Mówi: Jakiej chcesz, ptaku, zapłaty,
Iż tak śpiewasz do słuchu i pięknie?

— Jedna tylko nagroda mnie nęci,
Jeden drogi mi twój podarunek,
Przyjacielski złóż ust pocałunek,
Bym go trwale zachował w pamięci!

Poprzez graby i dzikie powoje,
Czuły uścisk wieczną przyjaźń łączy,
Nowy miesiąc promienie swe sączy,
W gąszczach kroki zachrzęsły i zbroje.

Rozhukana przetacza się zgraja,
Warczy złością i gniewem bulgota:
Grzech wykryty i niecna sromota,
Więzić młódkę i zgładzić hultaja!

III.

Wodzisław księciu rzecz wykłada:
Nie była tu spełniona zdrada..
Werner zaś Ziemowita łaje,
Iż depce grzeczne obyczaje,
Gdyż jest zwyczajem u cesarza,
Iż dama tak swój dank wyraża.

Mściwój wziął prawa i kanony,
By szukać kar na zdradne żony,
Lecz mazowieckie pergaminy
Podobnej nieświadome winy;
Więc mówi: Książę, na nic sprawa,
Gdyż pani nie zgwałciła prawa.

Ziemowit w swych dążeniach krewki,
Kazał służebne chłostać dziewki,
By przyświadczyły grzech wymownie,
Oddał je katom na katownię
I choć oprawca siekł je batem,
Nie mogły zdradzić nic przed katem.

Gdy Rajmund wzywa zmiłowania,
Książę pokornie twarz zasłania,
Bije się w piersi, głowę kłoni,
Lecz każe wysłać tabun koni,
Aby potomnym dla nauki,
Płochego gacha darły w sztuki.

A Zbych z Goślicy rzecz przedstawia:
— Panie, nie możem znieść bezprawia
I dla twych gzów i krwawej chęci,
Nikt nie przyłoży swej pieczęci!
Lecz książę okiem ciął ponurem
I kazał zdławić młódkę sznurem.

Zrywa się w pomieszaniu rada,
Zbych do topora dłoń przykłada,
Spytek surowość zbytnią łaje,
Werner cesarskie chwali kraje,
Srogością oburzona świta,
Hurmem naciska Ziemowita.

Lecz książę się zastawił ławą
I rzekł: — Krwią wpiszę nowe prawo,
Bowiem grzech dotąd nieznajomy,
Przewraca ład i burzy domy,
Więc choćby przyszło doznać zguby,
Mszczę lichą przyjaźń, marne śluby. —

IV.

Opadły mężom ręce pod ciężkich myśli wagą,
Hamują krew gorącą, cofają przed zniewagą,
Słyszeli przecież dobrze szmer wyznań i szept
czuły,
Widzieli, jak ich usta złączyły się i skuły.

Drży Rajmund jak osika, twarz zbladła niby ściana,
Gdy pachoł wszedł i księcia ująwszy za kolana,
Bełkotał słowa dziwne z odrazą i nieśmiało,
Że Dobek nie był gachem, lecz miał kobiece ciało.

A opat błąd wyjaśnia wśród łez, co gęsto cieką:
— Marniała miła Ludka pod mężów złą opieką,
Świeciła jako gwiazda przez ludzi niepoznana,
Czekając kiedy wreszcie ucieszy oko pana.

Znalazła chwilę szczęścia i pierwszy dzień wesela,
Gdy duszę rozkołysał czarowny śpiew minstrela
I skażcie mnie na gardło, lub wieczną poniewierkę,
Gdyż ja kazałem przebrać w rycerski strój tancerkę.

I śpiewać tak miłośnie żonglerce nakazałem,
Ażeby Ludki sercem zatrzęsła osowiałem,
Abyście rozpoznali na mazowieckim tronie,
Kwiat, co ma lilji zapach i jako róża płonie.

Książę, twe oczy błędne, pierś dyszy niby miechy,
Młódkę zdławiono sznurem, nie zaznasz już pociechy!
Lękają się szaleństwa swojacy i sąsiedzi,
W zdrętwiałej duszy starca bies opętaniec siedzi.

Dymią złupione grody, płoną wesołe sioła,
O pomstę nad szaleństwem trwożny mieszkaniec woła,
W zgliszczach bogate miasta, w niwecz zdeptane łany,
Szaleje na Mazowszu Ziemowit obłąkany.

NĘDZA.

Siedzi pani Nędza na wychudłej szkapie.
I dobrzyńskim traktem po Mazowszu człapie,
Zapadnięte boki okryła w łachmany,
Wstydzi się chudości i brudnej sukmany,
A konisko ledwie włóczy swe kopyta,
Oboje — by chcieli najeść się do syta,
Ogołocić kraje, pożreć wszystkie płody,
Ażeby zmarniały na ziemi narody
I nic nie zostało tylko pustka biała,
W którejby na wieki Nędza królowała!

Przeto się wybrała w podróż po tym świecie,
Piszczelami chrzęści na koniska grzbiecie,
Najpierw mazowieckie chce nawiedzić sioła,
Potem całą ziemię obeźre do goła,
Bydląt nie oszczędzi i nie żal jej ludzi,
Bo każde stworzenie na drzazgę wychudzi,
A nawet wyżłopie z ziemi wszystkie siły,
Ażeby już pola nigdy nie rodziły.
Tak łajdackie myśli rojąc w swym czerepie,
Zdarła łeb do góry i szkapę poklepie.

Zaśliniła wargi, nie wytrzyma dłużej,
Z maszewskich kominów tłusty dym się kurzy,
Więc się zgięła w kabłąk i staje u chaty.
— Pozwólcie niech spocznę i sprostuję gnaty!
Dajcie ugryźć kęsek rzecze słabym głosem,

A już pełną misę widzi przed swym nosem
I co łyk pociągnie, z poczęstunku rada,
Gospodyni zaraz do pełna dokłada,
A gospodarz szczerze raduje się w duszy,
Że gość je i z smaku trzęsą się mu uszy.

Gości Nędza tydzień, gości drugi, trzeci,
Przytyła już nieco, gnypami nie świeci,
Choć ciągle jeść woła, sama nawet nie wie,
Jak chętnie ją widzą i raczą w Maszewie.
Od czasu, gdy we wsi postawiła stopy,
Wyładniały baby, upasły się chłopy,
Każdy je za czworo, znarowion przykładem,
Smakuje mu rano, cieszy się obiadem,
Aż chytre Brwilnianki, w tak ciężkiej potrzebie,
Zbuntowały Nędzę i wzięły do siebie.

I jadłaby tłusto, korzennie i suto,
Ale pani Nędza odęła się butą.
I nie w smak jej chłopskie misy i zastawy,
Gdyż pragnie szlacheckiej skosztować potrawy.
Wciska się do izby i przy stole siada:
Z nowym gościem w domu niewielka zawada,
Proszą ją grzeczniutko, przysuną talerze,
Pełną łyżką Nędza z półmicha nabierze,
Knuje w podłem sercu i plany rozważa,
Jakby do cna zniszczyć pana gospodarza.

Lecz pan Kosobudzki bardzo sprytna sztuka,
Gorzałeczkę leje i w kieliszki puka,
Tak przygada tkliwie i pięknie zachęci,
Że wnet pani Nędzy w łbie się ćmi i kręci.
Radość ją rozpiera i animusz wielki,

Kieliszkiem zbyt skąpo, więc ciągnie z butelki,
Piętami wywija, podskakuje śmiało,
Pani Nędzy nagle hulać się zachciało.
Wyskoczyła oknem, wywijasem sadzi,
Przysiada i sunie dokąd trakt prowadzi.

Potknęła się wreszcie na własnym kosturze,
W Rokiciu upadła w księżowskie podwórze,
Błociskiem stytlała brzuch, kadłub i lice,
Surowo ksiądz proboszcz zgromił pijanicę,
A Nędza wciąż skomli, że głodna i chora,
Wyjadła śpiżarnię, połknęła indora,
Żalami i łzami proboszcza przestrasza,
Chce pożreć cielaka i zagrać marjasza,
Ksiądz widzi, że z babą nie sporo wieść żarty,
Pomyślał i westchnął, lecz rozdał w mig karty.

Na honor gra idzie, kto przegra, ten suszy,
Drży Nędza, księżulek raduje się w duszy,
Podwoił — a babie uszyska w dół zwisły,
Przegrała — więc tydzień czeka ją post ścisły,
A proboszcz nastaje i woła: Graj jeszcze!
Strach babie, kropliste przechodzą ją dreszcze
I bada, co myśli uczynić Dobrodziej,
Czy żywcem utłucze, czy może zagłodzi?
Widocznie, że zamiar dokładnie odgadła,
Bo dała w drzwi nura i w jarze przepadła.

Tak ryczy i jęczy, wydziera z łba włosy,
Aż fala po Wiśle roznosi odgłosy
I żal myśliborską dziedziczkę opada,
Że Nędza rozpacza i płacze i biada.
Przywiedli nieszczęsną w gościnne pokoje,

Ulopki jej warzą i parzą napoje
I choć podniebienie łakoma woń łechce,
Ruszona honorem jedzenia tknąć nie chce,
Lecz nie wie szkarada, bo głupie nieboże,
Że w Myśliborzycach nikt pościć nie może.

Więc nim się spostrzegła, że tacy ludziska,
Dziedziczka przemocą pcha jadło do pyska
I jeszcze się gniewa i srogo wyłaje,
Że gość śmiał domowe pogwałcić zwyczaje,
Rozmyśla więc baba, co czynić wypadnie,
Choć Nędza, lecz gracza oszukać nie ładnie,
Więc nocą cichaczem wykradła się z dworu,
By słowa dotrzymać, nie splamić honoru
I tydzień miedzami krążyła o głodzie,
Aż wreszcie w dobrzyńskiej zasiadła gospodzie.

*

Patrzcie, Trzepietowski siedzi jakby struty,
Sprzedał na jarmarku wszystkie swoje buty,
Czwarty już dzień pije od samego rana
I próżno wygląda dobrego kompana.
Przepił wszystkich rajców, nikt mu nie da rady,
Gdy po targu siądzie w karczmie do biesiady.
Skoro Nędzę ujrzał radość go opadła,
Prosi, by raczyła skosztować z nim jadła
I wypić antałek słodziutkiego piwa,
Z potraktunku baba rada i szczęśliwa.

Jedzą dzień okrągły, piją nockę całą,
Trzepietowski trzepie, baba żre niemało.
Drugi dzień upłynął, wstały trzecie zorze,
Trzepietowski trzepie, baba już nie może.
Wolno szczęką rusza, obżarstwu przygania,

Ale na stół wnoszą coraz lepsze dania,
Gdy spróbuje kęsek, łyka smaczną ślinkę,
Pożre spory kawał, choć chce odrobinkę.
Już trzeci dzień minął, nadszedł czas wieczerzy,
Pękła pani Nędza, martwa w karczmie leży.

Pochowali Nędzę za księżą oborą,
Ziemią przywalili, kamień jej wybiorą
Tak potężnej miary, jak brudzeńska skała,
Ażeby nieboszczka z grobu nie powstała.
Wracają z pogrzebu chłopi i mieszczanie,
Pewni, że już Nędza trapić świat przestanie,
Rozprawiają wiele, radością przejęci,
A Trzepietowskiemu łza w oczach się kręci,
Niechaj co chce mówi, gromada rozśmiana,
Lecz on przecież stracił dobrego kompana.

WOJNA PANA MONTWIŁŁA.

Pan Montwiłł się pogniewał był na Pana Boga,
Iż lekce go uważa, mało respektuje,
A nawet, jakby jakaś potencja złowroga,
Plagą chłoszcze i szkodne nasyła nań zbóje.
Owóż wiosną wymiękło mu żyto na łanie
I owce wyzdychały, charty mu skradziono,
A najmilszą Jagunię, rozkosz i kochanie,
Zabrał stary Lasota i nazywa żoną.
Więc pan Montwiłł już nie mógł znieść takiej sromoty,
A że szlachcic był pewny, nie działał z ukrycia,
Przeto szablę przypasał i pas przywdział złoty
I na sumę solenną przybył do Rokicia.
Stanąwszy u ołtarza, głowę kornie zgina
I pięścią się łomocąc w piersi blachą zbrojne
Zawoła: „Panie Boże, nie moja w tem wina,
Sam chciałeś, więc Ci dzisiaj deklaruję wojnę!"

*

Odmieniło się wszystko w montwiłłowskim dworze,
Dziedzic w piątki ucztuje, a suszy w niedzielę,
W powszednie dni spoczywa, w święta pola orze,
Gdy pogrzeb to się śmieje, płacze, gdy wesele.
I na opak przemienia porządek na świecie:
W nocy czuwa, dzień zato przesypia w barłogu,
Wielkanoc święci w zimie, a Wigilję w lecie,
Tak pan Montwiłł się sroży na złość Panu Bogu.
Jeśli wojna, to wojna, więc szlachcic nie tchórzy,

Lecz hardo się panoszy i strasznie zawzina,
Na udry więc, po długiej zamorskiej podróży
Z Arabji na Mazowsze przywiózł muezina
I wznosić kazał meczet, ciosać z sosien wieżę,
Aby wtedy, gdy kapłan ofiaruje Panu,
Muezin bisurmańskie zawodził pacierze
I głosił po Mazowszu wersety z Koranu.
I nie dość było sercu zatwardziałej złości,
Iż Jagunia sierdzistym afektem wzgardziła,
Siedem żon przywiózł z sobą najrzadszej piękności,
By pokazać, że nato stać także Montwiłła,
A każda była inna i z innego kraju:
Jedną pojął w Stambule, drugą wziął z Multanów,
Trzecią od Padyszacha, a czwartą z Seraju,
Piąta zaś ród swój wiodła od nogajskich chanów,
A szósta była czarna jak drzewo hebanu,
A na siódmą wołano: Księżniczka Libanu!

*

Z kotłów kłębami bucha para,
Pieką się woły i barany,
A przy wiwatach trel jańczara
Rwie się rozkoszą opętany,
Pan Montwiłł pije z roztruchana
I suto raczy swoich gości
I wszystka czeladź jest pijana
I psy się spiły jegomości.

Pijane zydle, stoły, ściany,
Ławy kołują, dach się kręci,
A ciągle pełne wnoszą dzbany
I piją dalej bez pamięci.
Pan Montwiłł spojrzał, jak rażony,

Rwie się do korda i wykrzyka...
Dom, przyjaciele, służba, żony,
W czeluściach piekła nagle znika.

Łamią się belki, trzeszczą stropy,
Wszystko przepada, wieczna szkoda —
Ziemia ucieka mu z pod stopy,
Więc wali się jak martwa kłoda.
Lecz widzi jasno, wśród uśmiechów
Jagunia zgrabnie rączką chwieje
I szepce: „Wstydź się, żałuj grzechów,
Lasota stary, miej nadzieję!"

*

Nigdy dzwony skarg tyle pod chmury nie niosą
I nie dzwonią na taką żałośliwą nutę,
Jak w Rokiciu, gdy w kaptur odziany i boso,
Pan Montwiłł jako dzwonnik odbywa pokutę.
I dzwoni na odwieczerz, wzywa do pacierzy,
Południe przypomina, nocą sznury targa,
Aż kraj jęczy dokoła, a z rokickiej wieży
Coraz rzewniej pokutna rozlega się skarga.
Zbudził się ze snu biskup, wstali kanonicy
I słuchają, skąd dzwonią oszalałe dzwony,
Bo jak burza przelata jęk po okolicy,
Aż Płock się zerwał z łoża dzwonieniem zbudzony,
A niejeden się pyta: „Pożar-li, czy trwoga?"
Lub umarł król w Warszawie — skąd takie dzwonienie?
To pan Montwiłł tak głośno chwali Pana Boga
I wydzwania Lasocie wieczne odpocznienie.

*

Dzwonią dzwony rokickie, proszą na wesele,
Kolasy zajeżdżają, lud radośnie kroczy,
Pan Montwiłł w gronostajach, brząka w karabelę,
I za panią Jagunią wodzi czułe oczy,
A złożywszy jej śluby, pięścią w pierś łomoce,
Aż blacha zadzwoniła na sutym bisiorze,
I wyrzecze pokornie: „Wielkie są twe moce,
Lecz, że wojnę wygrałem — przyznaj Panie Boże!"

ŚPIEWANKI PANA JUNOSZY.

Dziwna świata odmiana, już szumią strumyki,
Popękała brzezina i ożyły łąki,
A w dworze dziarnowieckim nie słychać muzyki,
Aż dziwują się kosy, szczygły i skowronki,
I świstunów nad domem krąży zawierucha,
Do okien wciąż zagląda chmura świegotliwa,
Co się dzieje, że cisza taka kołem głucha,
A stary pan Junosza fletu nie dobywa?
Gdy ogłuchnie dębina w koziebrodzkim borze
I umilkną zielone na Wiśle ławice,
Z czem polecą skowronki za dalekie morze
I jakie trele będą gwizdały w Afryce?
Gdy Mazowsze osmętni, świat się cały stropi
I nie zazna wesela, ani też rozkoszy,
Posmutnieją Indowie, Persy, Etjopi
I wszystkie ludy będą złorzeczyć Junoszy.
Prosim, prosim, zagrajże! — świegocą gwizdonie,
Wiosna wonią łaskocze, fiołków mnoży pęki,
Stary bocian posępnie kroczy po wygonie,
A sikory fałszują najprostsze piosenki,
Błaga lipa szeroka, sosna i grabina
I jezioro ogromne, szuwar w oczerecie,
Koziebrodzki bór prosi, aż do nóg się zgina —
Nuże, panie Junoszo, zadmuchaj na flecie!
Precz, natrętna gromado! Nie skusisz mnie niczem,
Albowiem wielkie święto chrześcijanom się zbliża,
Ukrócę wam swawolę i wychłoszczę biczem,

Zbawiciel kona właśnie, przybity do krzyża;
O cygańska hołoto, nieszczęsni poganie!
Przecież w poście nie pięknie brać fletnię do ręki,
Poczekajcie ptaszyny, Chrystus z grobu wstanie,
Więc po Wielkiej Niedzieli zagram wam piosenki.

Zebrały się skowronki w polu, wedle gruszy,
Trelują w tiule rannych mgieł nurzając skrzydło,
Aż stary pan Junosza zatkał dłońmi uszy,
Aby mu ptasie granie do cna nie obrzydło.
I kwilą pod obłokiem, śmigają w wądoły,
Urywają w pół tonu, tchu im niedostaje,
Aż strach słuchać tak podle terkoczą rzępoły,
Na nic dziób im zepsuły cudzoziemskie kraje!
Siadły kosy w chojarze i radeby zbliska
Zawołać, że już wiosna po niebiosach stąpa,
Lecz jakoś się swistunom nie darzy piosenka,
Bo dyszkanty ochrypły, a melodja skąpa,
Więc jeden przez drugiego na Junoszę zerka
I świegoli, w listowie tuląc się wstydliwie:
Pożałuj nas staruszku i zagraj oberka,
Bo jakoż mamy śpiewać mazowieckiej niwie?
Choć maj blisko, słowikom odeszła ochota
Próbować, jakie szlochy zawodzić w gęstwinie,
Źle się bawisz Junoszo, płocha twa robota,
Chyba całe Mazowsze przez ciebie wyginie...
Z jakiem wojskiem pan hetman przeciw Turkom ruszy?
I z czego będzie sprawiał na wyprawę szyki,
Jeśli sady i gaje pogrążą się w głuszy,
I kochanków nie zwabią ku sobie słowiki?
Krążą szare gromady, skrzydłami szeleszczą,
Zmięszanym korowodem gniewliwa czerń płynie,

Przyleciała nad strzechą i ćwierka złowieszczo;
Bodajś przepadł, Junoszo, marny Tatarzynie!
Ponad głową starucha ptasi krąg się wije,
Coraz gorsze obelgi miotając zuchwale:
Chciałbyś pociech pozbawić najświętszą Maryję
I zgłuszyć chóry ku Jej śpiewające chwale?
Aż zerwał się Junosza, chciałby biedz i skórę
Wykarbować zuchwalcom, krew wrzątkiem się
burzy,
Zadrżał wstydem, flet ujął, a pieśń leci w górę,
I pachnie niby wonie gorejącej róży.

*

Siadł Pan Jezus na tronie
W rubinowej koronie,
Zaś po jego prawicy
Postać Świętej Dziewicy,
A dokoła Anieli,
W karmazynach i bieli.

Święty Michał na warcie,
Odzian w skóry lamparcie,
Obejmuje huf bystrze
I strofuje rotmistrze,
Przejrzał ziemię i raje,
Raport Panu oddaje.

Ostro pręży kark świta,
Michał rejestr w głos czyta,
Naraz słowo mu chroma,
Gorszy grzech, niż Sodoma,
Bo Junosza Dziarnecki
Złamał parol szlachecki.

Łza aniołom się kręci,
W dłonie kryją twarz święci,
Z grozy wielkiej przewiny
Drżą, jak liść, cherubiny,
Zmilkły niewiast pacierze,
A Śmierć krzyczy: Nie wierzę!

Święty Piotr się ośmieli,
Spojrzeć do rubryceli,
Czy pazurem na karty,
Nie wpisały fałsz czarty.
— Ale księga wzorowa,
Rzekł więc Michał w te słowa:

— Przysiągł z własnej ochoty
Na pamiątkę Golgoty.
Kiedyś Panie marł z męki,
Nie brać fletu do ręki,
Gdy smagano Twe ciało
Grał, aż w niebie dudniało.

Gdy Twe rany krwią broczą,
Brzmią śpiewanki ochoczo,
I kraj kołem rozśmiany,
Zda się skoczyć chce w tany,
A na łąkach i łanie,
Huczy radość i granie.

W kącie skryta Kostucha
Przycupnęła i słucha,
Co Archanioł wylicza,
Patrzy w boskie oblicza,
Gdy Bóg zmarszczy brew smutnie,
Grzesznikowi łeb utnie.

Lecz Marji twarz biała,
Aż weselem skraśniała,
Jezusowi na twarzy
Złoty uśmiech się jarzy,
I przemówi statecznie:
Niech to granie trwa wiecznie!

A więc śpiewa Mazowsze, łąki i ruczaje,
Każda nuci wiklina, pola i bezdroża.
I na chwilę wesołe granie nie ustaje,
Aż potrąca o nurty skłębionego morza.
I lecą słodkie pieśni i szczęśliwe złudy,
Po turniach nieprzebytych i wód Oceanie
Powtarzają je wszystkie krainy i ludy
I za wolą Jezusa tak zawsze zostanie.

TAŃCUJĄCE ANIOŁY.

Martwi się kolegjata, martwią kanonicy,
Iż w Drobinie sami zbóje, łupieżnicy,
Pan kasztelan ośmiu w kazamatach więzi,
A innych dwunastu zwisło na gałęzi,
Podobna zaś kara cały Drobin czeka,
Nie znajdzie tam bowiem zacnego człowieka.

Sierpeckiemu panu wielką czynią szkodę,
Bo z państwa zabrali wszystkie dziewki młode,
I koni najlepszych ukradli mu stado,
Aby wozić młódki z największą paradą,
I taka nowina płynie aż pod Kraków,
Że sam czart starostą jest u Drobiniaków.

Djabły w jarzmach tam chodzą i sprawiają pola...
Więc w Drobinie próżniactwo i grzeszna swawola
I żadnego szacunku dla biskupiej straży,
Sam Belzebub słodziutką gorzałkę im warzy
I obwiesza szynkami pułapy w komorze,
Więc za nic mają wszelkie przykazania Boże.

Umęczone basetle, biedni skrzypiciele,
W każdy dzień do Drobina ciągnie gości wiele,
I aż ziemia w krąg dudni, tuman dmie do góry,
Takie tną obertasy i wodzą mazury,
I ciągle bez przestanku — od nocy do ranka,
Huczy kołem biesiada, tańce i hulanka.

Raciążanki zemdlone już tańczyć nie mogą,
Okulała Bielszczanka lewie włóczy nogą,
Wydreptały trzewiki dobrzyńskie panienki,
Z Bodzanianek zlatują podarte sukienki,
Niejedna Rypinianka półmartwa się słania,
A słupeckim panniczkom mało tańcowania.

Jako śmigła się kręcą w obertasach kołem,
A junacy im mogą nadążyć z mozołem,
Pewnie dusze wytańczą ze wszystkich chłopaków,
Przeto popłoch okrutny padł na Drobiniaków
I frasują się wielce, z pantałyku zbici,
Że djabeł chyba panny słupeckie nasyci.

Do rozpuku się śmieją kmotry i sąsiady,
Iż w Drobinie Słupczankom nie mogą dać rady...
I z uciechy aż kumom odęły się brzuchy,
Że chłopców przetańcują słupeckie dziewuchy,
Bo jedna poprzez drugą muzyce wykrzyka:
Gdy hulanka, to hulaj! Nie żałować smyka!

Tupnął Walek Jasiniak, aż lecą paździerze
I pannę Słupeczankę do oberka bierze,
Sto razy nią otoczył i jak piórkiem śmiga,
A panna się wykręca i pędzi jak fryga
I jeszcze go zachęca i w twarz mu chichoce,
Aż Walek padł omdlały i wyszły zeń moce.

Przeto Jasiek Falenta zaperzył się srogo,
Nasunął czapkę na łeb i brzęknął ostrogą,
I tak mocno zawinął słupecką panniczką,
Iż rumieńcem skraśniało jej bieluchne liczko,
A z pod nóg leci ziemia i kurzawą bucha,
Lecz, nim północ minęła, już leżał bez ducha.

Wściekłe jakieś porwało wszystkich tańcowanie,
Już zaciasna im karczma, tańczą na majdanie,
Pomieszały się pary w szalonym ordynku,
Przytupują po drodze, hulają na rynku,
A łuna na niebiosach szeroko połyska,
Taki ogień wykrzesał smyk i obcasiska.

Zczerwieniało Mazowsze w ogromnej pożodze,
Na Kujawach aż ludzie zajęczeli w trwodze
I biegną na ratunek z pobliża i dali,
A łuna nad Drobinem purpurą się pali
I Wisłę zakrwawiła i nowy żar ciska,
Taki ogień wykrzesał smyk i obcasiska.

Lecz, nim zorza wyjrzała i zapiały kury,
Pobladły nad Drobinem zakrwawione chmury
I ziemia tumanami kurzawic nie prószy,
Sto martwych łupieżników spoczywa bez duszy,
A z skrzypiec cichusieńkie polatują dźwięki
I jeszcze nie ustają słupeckie panienki.

Ledwie nóżką trącają murawę i skały
I dalejby tańcować z chłopakami chciały,
Aż lęk jakiś okrutny wszystkie serca bierze
I ludziska ukradkiem mamrocą pacierze,
A sąsiad sąsiadowi na ucho powiada:
Nie panieńska to sztuka, lecz szatańska zdrada!

Odetchnął pan sierpecki i pobliskie grody,
Nie poniosą już bowiem od łupieżców szkody,
Więc kasztelan rozmyśla, pyta kolegjatę,
Jakąby Słupeczankom wymierzyć zapłatę,
A ksiądz biskup czemprędzej wymalować każe
Czcigodnemu mistrzowi obraz w płockiej farze.

Gdy nadciąga w procesji lud z odległej strony,
Nucąc pieśni nabożne, niosąc feretrony,
Przedziwnem malowaniem duszyczki zachwyca,
Bacząc jako z grzesznikiem pląsa tanecznica,
Albowiem, jak głosiły z nieba epistoły,
Drobiniaków poskromił nie czart, lecz anioły.

ZŁOTY WIEK.

Pan Tomasz z Babielina dziwne ma humory,
Różaniec go nie ciągnie, do tańca nie skory,
Nad księgami wiek trawi, w pergaminach grzebie,
Jakoby z kalendarza tak czyta na niebie
I zwyczajnie jak czynią wszyscy farmazoni,
O swej duszy nie myśli, a od niewiast stroni.

I wymyślił pan Tomasz po długiem myśleniu,
Że przekleństwo na ludzkiem ciąży pokoleniu.
I czas już, aby wszędy nastał czas spokojny,
Nikt się nie rwał do szabli, ani parł do wojny
I nie było złoczyńców, sędziów i niecnoty
I drugi raz na świecie zawitał wiek złoty.

Przeto w drogę się wybrał do króla w Warszawie,
Aby mu sprzymierzeńcem był w tak ważnej
sprawie,
Popalił wszystkie prawa, zamknął trybunały,
Porozpuszczał do domu komput wojska cały
I najmiłościwiej sam zeszedł na dziada,
Na tem się bowiem szczęście narodu zakłada.

Lecz nim zdołał przedłożyć zamiar ważkiej treści,
Pękło serce królewskie z niezmiernej boleści,
Więc słusznie wywnioskował mędrzec z Babielina,
Jaka jest tej śmierci prawdziwa przyczyna,
Bo wiadomo, iż rozpacz człowieka ogarnie,
Gdy pozna, ile życia przepędził na marnie.

I aby innych ustrzec od takiej zagłady,
Wdał się pan Babieliński z posłami w narady,
I chcąc szczęście wieczyste roztoczyć nad światem,
Postanowił sam zostać na tron kandydatem
I cały kraj poruszyć od spodu do góry,
Jeśliby go w królewskie oblekli purpury.

Nie masz bowiem milszego ładu niż dziadowski,
Każdy dzień równie piękny wyda się i boski,
Nieprzyjaciel na ziemię żebraczą nie czyha,
Nikogo nie roznosi zbytni chleb i pycha
I czy rodzi się człowiek, żeni lub umiera,
Dziad zawsze rad z przypadku i pożytek zbiera.

Marny rodzie człowieczy, w głupstwie pogrążony,
Pan Tomasz nie uzyskał władzy i korony,
Choć rwała się do berła królewskiego dusza,
I z Platona dowodził i z ksiąg Owidjusza,
Nabite na łbie guzy, a pod okiem krecha,
Lecz dla szczęścia ludzkiego pracy nie poniecha.

I wykaże sąsiadom, poda potomności,
Ile głupstwa w ich głowie i nikczemnej złości
I choćby miał zwyciężyć trudy niezmierzone,
Przecież zyska królewskie berło i koronę
I złoty ustanowi porządek na świecie,
Który głupców pognębi, a zuchwałych zmiecie.

*

Od wschodu, od zachodu, z za Wisły, od Bielska,
Kusztykają po drogach zasapane cielska,
Pot spływa im na karki i trzęsą się brody,
Wszystkie dziady z Mazowsza proszone na gody.
Dobre będzie przyjęcie i długa gościna,
Zaprosił ich do siebie szlachcic z Babielina.

Nie przechwala się dumą, nie wynosi butą,
Tylko wita gościnnie i raczy ich suto.
I zebranym z ksiąg różnych po łacinie czyta,
Iż dziadowska kondycja dawno znamienita,
A z czytania i z mowy tak jakoś wypada,
Że niema możniejszego człowieka od dziada.

A więc strasznie urosły dziady na honorze,
Leżą sobie do słonka w miłym rozhoworze,
Lekki wietrzyk powiewa i chłodzi upały,
Przeleżeliby chętnie tak przez żywot cały
I po zgodnej rozwadze nabrali ochoty,
Innego nie znać życia, lecz tylko wiek złoty.

Niczego nie brakuje w komorze i stajni,
O wygodę troskliwie dbają rękodajni,
Dziady dobro gromadzą, suszą cudze beki,
Rozkoszy im dostarcza zewsząd kraj daleki,
A na skroniach osiada glorja niesłyszana,
Gdy dziadów do Skępego prowadzi dziad z pana.

A pan Tomasz się krząta, czyta na głos w księdze,
O niczem niezmożonej dziadowskiej potędze,
I radzi i nakłania, ręce w prośbie stula,
Aby go lud żebraczy obwołał na króla,
Bo ukaże wszem wobec elektom z Warszawy,
Kto więcej ma poddanych i gdzie władca prawy?

Niech żyje król Jegomość! brzmią huczne wiwaty,
Szmermele lecą w niebo, wre śmiech do zatraty,
Nigdy jeszcze jak ziemia mazowiecka słynie,
Nie było tyle wrzawy, jako w Babielinie.
I radość niepomierna wypłoszyła troski,
Gdy wołano od serca: Wiwat król dziadowski!

I obrali stolicę pod Maćkową gruszą,
A król liczy poddanych nim na żebry ruszą,
Pierś mu skacze z radości, płonie twarz szczęśliwa,
Gdy baczy jak wytrwale nowy lud przybywa:
Idą pieszo, zjeżdżają bryki i kolaski,
A każdy się domaga przyjęcia i łaski.

Safiany i kaszmiry, parcie, samodziały,
Dla ciągnącej gołoty Babielin za mały,
Każdemu czegoś trzeba, więc na przełaj śpieszy,
Ażeby go nie ubiegł kto z żebraczej rzeszy,
Król zaś krąży dokoła między wiernym ludem,
Nauczając jak trzeba żyć bliźniego trudem.

Kwitnie świetne królestwo, w siłę ciągle wzrasta,
Obejmuje najdalsze przestrzenie i miasta,
I podobno do końca świata nie zaginie,
Gdyż możniejsze jest jako ongiś w Babielinie,
A rzecz cała potęgą poparta przykładów,
Że na świecie najwięcej nierobów i dziadów.

DJABLE KONKURY.

I.

W posadach ziemia aż zadrgała,
W głębinach huczy szczęk i jęk,
Zapadła się do Wisły skała,
A mur na płockiej farze pękł,
I ten co wątpi, lub nie wierzy,
Dowiedział się, gdzie piekło leży.

Zląkł się Belfegor, Hamos trwożny,
Kryją się djabły do swych dziur,
Nawet Rhaabon, książę możny,
Opuścił łeb, jak zgnany tur,
Albowiem srogi gniew rozpiera,
Serce możnego Lucyfera.

Przeszedł krużganki i piwnice,
Po całym piekle odbył ront,
Straszliwą zbadał tajemnicę,
Gdyż namiestników odkrył błąd,
Przejrzał czeluście i zakątki,
Okropne ujrzał nieporządki.

— „Mości Boruto, licha sprawa,
Waść jeno w kufle brząkać rad,
Niebo się z czartów naigrawa,
Bezczelnie drwi z nas cały świat!“ —
Krzyczy Lucyfer jak szalony,
A djabłom trzęsą się ogony.

Wlewając w gardło smoły szklankę,
— „Wspomniałem — władca piekieł rzekł —
Iż raz kochałem Mazowszankę,
Której żar, niby ołów piekł,
I dotąd jeszcze moje ramię,
Ma wypalone ust jej znamię.

I gdy mię trochę ścięły dreszcze
I mdłym się wydał smoły smak,
Rzekłem: Podobną jej popieszczę,
W piekle tych dziewek nie jest brak;
Rozkaz wydałem mej czeladzi,
Z Mazowsza dziewkę niech sprowadzi!

Dań nam składają wszystkie lądy,
Krasawic pełne piekła dno,
Mości Boruto, złe twe rządy!
Minęło bowiem już lat sto,
Gdyśmy ostatnią Mazowszankę,
Pojmali w piekło jako brankę."

Lucyfer strasznym głosem ryczy,
Wali ogonem z całych sił,
— „Nie pragnę innych mieć zdobyczy,
Nie będę jadł, nie będę pił,
Obalę wszystkie stropy piekła,
Taka mnie złość roznosi wściekła."

Po trzykroć krwawym błysnął zębem,
Parskał płomieniem, rozwarł pysk,
Aż włos na djabłach stanął dębem,
A u bram stał się tłum i ścisk,
Na przełaj sfora zasapana,
Pędzi po dziewkę dla szatana.

Lecz pan Boruta wzniósł buławę
I woła: — „Głupie djabły stać!
Nie wam na taką iść obławę
I mazowieckie dziewki brać,
W mem województwie nic nie wskóra,
Nikczemny cham i podły ciura!"

Więc senatorów siadła rada,
Radzili przez miesięcy sześć,
Kogo nad Wisłę słać wypada,
By mógł choć jedną dziewkę zwieść,
I jak na przyszłość działać trzeba,
By drogę zamknąć im do nieba.

II.

Czwórka karoszów z wichrem hasa,
Po płockim trakcie mknie kolasa
I kurzy piaskiem, błotem bucha,
Jakby leciała zawierucha.

Panicz ubrany w śliczne szatki,
Wyborny w słowie, z twarzy gładki,
Lewandą woni, patrzy z góry,
Pędzi w kolasie na konkury.

Na Smolin spojrzał... Chęć go bierze,
Tam pani mówi swe pacierze,
Więc splunął, zaklął coś z djabelska
I sadzi traktem, aż do Bielska.

Chciałby zatrzymać bieg szatański,
Lecz dzwon wydzwania Anioł Pański,
I uszy rani mu zdaleka,
Więc zaciął konie i ucieka.

Chętnie-by popasł w psarskim dworze,
Lecz cugu skręcić tam nie może,
Bo na rozstaju, wedle drogi,
Chrystusik patrzy nań ubogi.

Taki pokorny Pan nad Pany,
Z lipy nabożnie wyciosany
I otulony w brzóz zieleni,
Więc panicz się od grozy mieni.

Cmoknął na konie, rwie przez piaski,
Aż jęczą koła u kolaski,
Pognał cuganty bez spoczynku
I na drobińskim zwolnił rynku.

Odetchnąć zbiera go ochota,
Ale otwarto farne wrota,
A proboszcz niby Samson mężny,
Z djabłami wiedzie bój zwycięzny.

Smaga kropidłem, słowem karci,
Aż w opętańcach skomlą czarci,
Widząc to panicz, jak ryś skoczy:
— „W konie! Gdzie nas poniosą oczy!“

I poprzez doły, kopce, łany,
Pomyka pojazd wyzłacany,
Woźnica biczem jak grzmot trzaska,
Niech się rozsypie w kruch kolaska!

Omdlały szkapy, pękła sprycha,
Naprawić koło trza, — do licha —
— „Niech mnie poświęcą, lub powieszą,
Do piekła nie powrócę pieszo!

Zmówię litanję, wytrwam chłosty,
Cierpliwie zniosę mszę i posty,
Choćbym najsroższe przeszedł kaźnie,
Przed kamratami się nie zbłaźnię.“

Nad cierpkim losem swym boleje,
W grabową puścił się aleję,
I patrzy dokąd wiedzie ścieżka,
Gdzie jaki kum, lub szlachcic mieszka?

I staw okrążył, zapadł w chaszcze,
Poprawił krezy, włos ugłaszcze
I kawalerską robiąc minę,
W Kucharach prosi o gościnę.

III.

Szambelan królewski z Warszawy,
Tysiące zabawnych zna sztuk,
W obczyźnie nabierał on wprawy,
Paryski szlifował go bruk,
W Wersalu prowadził gawoty,
Na szpady się rąbał jak grand,
I wszędzie zapalał tęsknoty,
Bo wielki był sztukmistrz i frant.

Szambelan zna słowa pachnące
Jak jaśmin i słodsze od gron,
Gdy mówi o szczęściu, rozłące,
To serce gra dziewkom jak dzwon,
Więc Basia nań patrzy wsłuchana,
I otrze czasami z ócz łzę,
Tak bardzo jej żal szambelana,
Któremu na świecie jest źle.

Kawaler zmieniony i chory,
Pożółkło mu lice na wosk,
Powiada, że żrą go humory
I wiele sercowych ma trosk,
I radby porzucił urzędy,
Odłożył ordery i frak,
By Basi mieć miłość i względy,
Gdyż bez niej mu cierpko i brak.

Co skończy wzdychanie, to zacznie,
Wytrzymał prób wiele i foch,
Na Basię spogląda rozpacznie
I łzy mu tak kapią, jak groch.
Zapuścił wąsiska sumiaste,
Uczesał czuprynę na czub
I przysiągł mieć jedną niewiastę,
Z którą połączy go ślub.

Zaledwie rozbudzą się drzewa
I ptaków odezwie się chór,
Szambelan godzinki już śpiewa,
Aż chwieje się lamus i dwór,
Tak zbożnie dzień każdy obwieści,
I kończy przykładnie dnia bieg,
Po kraju więc krążą powieści,
Że bardzo nabożny zeń człek.

Gdzie odpust, uciecha, lub łowy,
Tam siada poważnie za stół
I zda się grzmiącemi słowy,
Wszystkich-by zmiażdżył i skłuł,
Na czartów podstępy wyrzeka,

Tak karci niestatek i brud,
Iż biją promienie zdaleka,
Wzorowych przykładów i cnót.

Łbem kręcą i suszą mózg draby,
Zwarjował? Ogłupiał? Bzik jest?
Z proboszczem już grywa w warcaby
I przyjąć w Drobinie chce chrzest,
Kpi z glejtów, odrzuca wezwania,
Gdy wódz i starszyzna mu śle
I posła kropidłem wygania,
A z Basią do ślubu się rwie!

Panienka spojrzeniem złowrogiem,
Przez siedem przejrzała go skór
I djabła wypędza ożogiem,
Aż uciekł i zaszył się w bór.
Do piekła już niema iść poco,
Poczerniał z rozpaczy i zbrzydł,
Więc błąka się dniem, stęka nocą,
Bo żal go pożera i wstyd.

* * *

M o r a ł:

Morałem tej strasznej powieści,
Nikogo nie weźmie na lep,
Wiadomo, ród twardy niewieści,
Lecz djabeł podobno był kiep.
W ten sposób scholastyk uczony
Tłumaczy — słuchaczom to w smak —
Gdyż czart mógł wziąć Basię w swe szpony,
Lecz zgoła inaczej — nie tak.

KREWNI DOMU DAWIDOWEGO.

I.

Srożą się groźni Szreniawici
A Lasotowie ostrzą miecz
I mkną pachoły w blachy kryci,
Rozwożą kmiotom tlące wici,
O wielką bowiem idzie rzecz.

Mazowsze takiej ważnej sprawy,
Nie miało nigdy odkąd trwa,
Więc wściekłość serce żre Szreniawy,
A pan Lasota z gniewu krwawy,
Gdyż o dostojność domu dba.

Wpisano bowiem w księgi złote,
Nie przeczył nikt, lub wątpić śmiał,
Że król Roboam za Lasotę,
Widząc rycerską w nim ochotę,
Swoją dwunastą córę dał.

Roboam zrodził nam Abiama,
Abiam zaś Azę, jego wnuk
Joram Ozjasza, krew ta sama
Przed którą piekieł prysła brama,
Gdyż z krwi tej zrodzon Chrystus-Bóg.

Szreniawa dowód ma niezbity
I prawdę dobrze zbadał sam,

Że król Roboam znamienity
Dumny był z zięcia Szreniawity,
A wszystko inne fałsz i kłam.

Taka wysoka parantela,
To nie jest bylejaki dar,
Człek na niejedno się ośmiela,
Gdy ma protekcję Zbawiciela
I nie tak trwożny wiecznych kar.

Wiadomo przecież, krwi rodzonej
Łatwiej wybaczy jakiś błąd
I po wędrówce tej znikomej
W swej łaskawości nieskończonej,
W niebie choć ciasny przyzna kąt.

Do krwawej burzy kłótnia zdąża,
Czy zdoła kto uśmierzyć gniew?
Gdy dziekan, święty mąż z Raciąża,
Który się w boską mądrość wgrąża,
Nie mógł odróżnić ziarn od plew.

Skoro Lasota klęknie w ławie
I mruknie: Jezu, duszę zbaw!
Kłębi się zaraz żółć w Szreniawie,
Z wściekłości nieprzytomny prawie,
Bo widzi jak się nadął paw...

Więc gromkim głosem odpowiada,
Aż po kościele echo brzmi:
Najświętsza Panno, chłyst się wkrada,
W nasz wspólny ród od prapradziada,
Miej wzgląd dla Roboama krwi!...

II.

Od płońskiej równiny, od piachów Rypina,
Przebiega Mazowsze gniewliwa drużyna,
Szreniawa ich garnie pod swoją buławę,
Na mściwe spotkanie i wielką rozprawę.

Od Wisły Lasota przyjaciół prowadzi
I kupę sąsiadów i zgraję czeladzi,
W kirysach i konno śmigają seciny,
Traktami i polem wszerz płockiej krainy.

Dwanaście siół wzięli, dwa grody już padły,
A bój się dopiero rozpoczął zajadły
I dudnią pawęże i krwawi się dzida,
O honor Lasoty i króla Dawida.

Okrutny wzrósł zamęt, rechoty i wrzawa,
Znienacka na trzeci gród napadł Szreniawa,
Przez cokół palisad błysnęły kopyta,
A topór się wali na bramę i zgrzyta.

Puściły zawiasy i pękły w pół kraty,
Szreniawa zwycięzko dopada komnaty,
W tem lice radosne oblekło się w chmurę,
Bo ujrzał Lasoty mdlejącą w łzach córę.

Zakuje ją w dyby i wrzuci do lochu,
Niech ginie od chłodu i głodu i szlochu!
Lecz spojrzał, a serce żal dziwny zamroczy,
W ciemnicy wyblakną fjołkowe jej oczy.

Do baszty ją wepchnie, zawory zatrzaśnie,
Lecz uśmiech srebrzysty w więzieniu zagaśnie...
I licho nieznane szarpnęło mu duszę,
Więc pannie łaskawsze obmyśli katusze.

W alkowie ją zamknie, zaciągnie straż w domu,
Lecz trudno na świecie zaufać dziś komu,
Rozpędzi wartników i co noc do rana,
Na progu wiernego posadzi brytana.

Pies także niepewny, ugłaskać się może,
Najlepiej w szreniawskim osadzi ją dworze
I twardo pilnuje i strażą naciska,
By rychło się zrzekła Lasotów nazwiska.

I nagle mu serce owładła tęsknota,
Gdy wspomniał, że sam jest na świecie, sierota,
I żywot ma smutny, a dom nieciekawy
I na nim się skończy rodzina Szreniawy.

Ucichła zawziętość i znikła powaga,
Jak żubr się zatoczy pod stopy i błaga,
By wreszcie oziębłość jej prysła jak tama
I chciała w królewski wejść ród Roboama.

III.

Dziekan z Raciąża ubrał stułę,
A że był bardzo mądry człek,
Złączywszy ślubem serca czułe,
W kościelną spojrzał matrykułę
I taką mowę wiernym rzekł:

Niedocieczonym biegiem rzeczy,
Wieczystej zgody wejdzie siew
I najpodlejszy gad człowieczy
Potomkom ich już nie zaprzeczy,
Że mają Dawidową krew.

PODRÓŻ SZCZĘSNEGO POBOGA NAOKOŁO ŚWIATA.

Wiadomem jest powszechnie i nikt nie zapiera,
Iż prababką Pobogów bogini Wenera
A Mars dziadem, więc idąc za logiką ścisłą,
Powinni na Olimpie żyć, a nie nad Wisłą!

I nikt tego nie zbadał, przysiądz nie jest w stanie,
Czy też są Pobogowie dobrzy chrześcijanie,
Bo ich ciągle coś goni na przestwór daleki,
Między brudne Murzyny, Chińczyki i Greki.

Raz nie było Poboga w domu cztery zimy,
Zgadywano, że poszedł do Jerozolimy,
Lecz napewno w tem prawdy niema okruszynki,
Albowiem grzeszne przywiózł z podróży nowinki.

A gdy wrócił, gruchnęła wieść po okolicy,
Że ziemia się tak kręci jak łeb pijanicy
I przez takie kręcenie pośpieszne i ciągłe,
Przemieniła swe płaskie kształty na okrągłe.

Niepodobna uwierzyć, więc niejeden przeczy,
Chociaż Pobóg dowodzi składnie i do rzeczy,
Lecz przecież na Mazowszu nigdy się nie zdarza,
Aby zwątpił kto kiedy w mądrość z kalendarza.

Więc w Dobrzyniu dysputa, rwetes i zamęty,
U Napiórka w gospodzie, aż drżą fundamenty,

Omal z śmiechu nie pękną ziemianie za stołem,
Że ziemia jest jak kula i kręci się kołem.

A w tej ciżbie, gdzie hałas największy i zwada,
Szczęsny Pobóg tłumaczy i ręką wykłada,
Aż ochrypło mu gardło i głos w grdyce kona,
Lecz daremnie, nikogo słowem nie przekona.

Więc się srodze zaperzył i gniewny bez miary,
Iż w Dobrzyniu nie dają słowom jego wiary,
Przerwał dyskurs i tłumiąc złość, wyrzecze godnie:
— Że ziemia jest okrągła wszystkim udowodnię.

I na świadka pozywam, ma chęć, czy się zgniewa —
Sąsiada z Grochowalska, Kaspra z Zarzyczewa
I jutro, skoro jutrznia zjawi się skrzydlata,
Społem w podróż ruszamy naokoło świata.

Jeden świadek dziękuje, a drugi się zżyma,
Lecz Pobóg ich za poły uchwycił i trzyma
I słowem, niby żądłem jadowitem siecze,
Próżno rwą się z uwięzi, żaden nie uciecze.

Nalegają i proszą, chcą brać za obuchy,
Trzeszczą poły a Pobóg na perswazje głuchy,
Jakby rozum postradał i zbył się pamięci,
Wciąż woła: Zobaczycie, że ziemia się kręci!

I nie byłoby z Szczęsnym żadnej więcej gadki,
Gdyby go nie opadły wymowne sąsiadki,
Więc zmiękł zaraz, lecz wymógł pod zbawieniem duszy,
Iż patrzeć będą, którą drogą w świat wyruszy.

U Napiórka gorzały popłynęła rzeka,
Dziesiąty raz ziemianin na zły rok narzeka,
Kusy żak mistrzowskiego już dopiął dyplomu,
A Pobóg jeszcze z wędrów nie wrócił do domu.

Zmarniał pewnie biedaczek i przepadł bez znaku,
Chmurę widać, kurz bryzga po lipnowskim szlaku,
Jedzie tęga gromada, kupa dzikich ludzi,
Żółci, czarni, czerwoni, kędzierzawi, rudzi.

Wyrostki i dziecięta, a najmłodsze chłopię,
Jeszcze piersi brunatnej Cyganichy żłopie,
A z pośrodka czeredy Pobóg w krąg spoziera
I poznać, jaką dumą serce jego wzbiera.

Przez wielkie wrota ruszał w wszechświat niezmierzony,
A teraz w dom powraca od przeciwnej strony,
Któż więc jeszcze zaprzeczyć Pobogowi zdoła,
Że ziemia nie jest kulą, gdy zszedł ją dokoła.

Jak się bratał na świecie z różnymi narody,
Każdy może spoglądnąć, ma żywe dowody —
Ten Kafer, a ten Zulus, ten z Indji pamiątka,
Owóż Chińczyk, Eskimos, Arab, Murzyniątka.

Ten zrodził się na wyspie, tamten na równiku,
Tego matką królewna była Atlantyku,
Tak się parał w podróży jako mógł najlepiej,
Aby wreszcie przejrzeli Mazowszanie ślepi.

Jednomyślnie więc przyszli sąsiedzi do zgody,
Że ziemia jest okrągła i ma antypody,
Tylko jeszcze niekiedy toczą się narady,
Skąd się wzięły na świecie te wszystkie szkarady?

SWATY NA SUŁTAŃSKIM DWORZE.

I.

O rozkosznej Chadidży na sułtańskim dworze,
Usłyszał Damian Wilga i żyć już nie może,
Widzi białą jej postać i żarzące oczy,
Majaczą mu się czarne sploty jej warkoczy,
Gdy źrenice zmęczone od patrzenia przetrze,
Słyszy głos jej szemrzący w rozhukanym wietrze
I wyraźne wołanie dochodzi z daleka,
Iż Chadidża go wzywa i spotkania czeka.

W siódmym raju zakwitły lotosowe drzewa,
A dech ich zapachami Kędzierzyn oblewa
I nozdrza ludzkie drażni i serce rozpycha,
Aż Damian w szczapę wysechł i jak mara wzdycha,
Do drogi się gotuje i odlewa kule,
Licząc dnie, gdy nareszcie zjawi się w Stambule
I wypełni Chadidży gorące żądanie,
A kto wie, czy do Turków nawet nie przystanie.

Skoro zamiar swój zdradził, struchlał proboszcz z Bielska
I odgadł, że to farsa jakowaś djabelska,
Odkąd bowiem świat stoi i nurt Wisły płynie,
Nie uchował się żaden Turek w Kędzierzynie,
Więc jeśli Wilga taki łakomy przechera
I chęć go do sułtanki jak siarka rozpiera,
Niechaj teścia nawróci, żeni się z poganką
I uczyni ją dobrą bielską parafjanką.

Mówią Bończa i Łopian, starzy wojownicy,
Co za figle płatają w Turcji zbereźnicy,
W jakiej można opresji być i strasznej biedzie,
Lecz Wilgę od zamiaru niczem nie odwiedzie,
Ani strachu napędzi, ani też przekona,
Taka tkwi w nim zawziętość lwia, nieustraszona,
I nic go już nie cieszy i nie chwyta spanie,
Gdyż po nocach głos słodki słyszy: Przyjdź,
Damianie!

Nie ładnie by to było, hańba niesłychana,
Gdyby Wilga sam jechał w paszczę bisurmana,
Mógłby wyrzec niejeden z zawiślańskiej młodzi,
Że Mazowsze marnieje i na psy już schodzi,
A więc Janusz z Sękowa i Zyndram Brodaty,
Pośpieszyli, by ruszyć do sułtanki w swaty,
A Dawid z Miłodroża pogrzebał w szkatule
I sypnął na uczciwą prezencję w Stambule.

II.

Od złotych korabi lśni morze,
Bachmaty skry krzeszą wśród dróg,
Zjeżdżają potężni wielmoże,
Przez góry i pustyń bezdroże,
Za cugiem przepyszny mknie cug.
Po Chadidżę jadą,
Z wrzaskiem i paradą.
Z galerji sułtańskiej komnaty,
Chadidża wzrok ostrzy i słuch,
Ten niedość jest dla niej bogaty,
Ów łysy a tamten kudłaty,
A inny odęty ma brzuch.
A wszyscy jak jeden,
Z Chadidżą śnią Eden.

Libijskie książątko kuleje,
Syryjczyk wygląda jak strach,
Etiop ma pysk jak wierzeje,
Na słońcu a w futrach się grzeje
Król Indów i perski szach.
Oczy w górę wznoszą,
O sułtankę proszą.
Stanęli przed Wielkim Dywanem,
I chwalą potęgę swych miast,
Wspomniawszy o sercu wezbranem,
Pokłonią się w pas przed Osmanem,
Prosząc o gwiazdę gwiazd...
A Chadidża słucha
I gniewem wybucha.
Pan Damian i jego swatowie,
Lękliwie nie kryją się w kąt,
Gadali raz z królem w Krakowie
I mocni są w szabli i w mowie,
Więc śmiało wystąpią na front.
Na sułtanki twarzy,
Słońce się rozjarzy,
A Wezyr badawczo ich pyta —
O wiarę, bogactwa i właść,
— Z Mazowsza kawaler i świta,
Dość rzekłem — daj dziewkę i kwita,
Inaczej łeb może ci spaść!
A Chadidża płonie,
Klaszcząc w obie dłonie.
Zgrzytnęły dostojne eunuchy,
Janczarska zerwała się straż,
Błyskają nad głową obuchy,
A Damian na wściekły ryk głuchy,
Wypalił zebranym twarz w twarz:

Chadidża w obawie,
Omdlewa już prawie.
Osmanie, mądrości opoko,
Gdy pragniesz, dziedzictwo me zmierz,
Choć ziemie twe biegną szeroko,
Lecz moich nie dojrzy też oko,
Gdy w głębię spoglądniesz nie w szerz...
A sułtanka szlocha,
Tak Damiana kocha.
A nie chcesz mnie przyjąć za zięcia,
Weź klingę i z tronu tu zstąp,
Znasz wszystkie Koranu zaklęcia,
Ja wierzę w mą miłość i cięcia,
Więc ze mną natychmiast się rąb!
A Chadidża wzdycha,
Żałosna i cicha.
Potężny effendi z Kajmaku,
Pochwycił szablicę do rąk,
I wrzasnął: Rozgniotę-ć, robaku!
Zaś Wilga go tknął po kołpaku,
A głowa już tańczy jak bąk.
Srogie łzy wylewa,
Rozpłakana dziewa.
Zadumał się Osman na chwilę,
Powstrzymał jańczarski swój huf.
— Z takimi zadzierać niemile,
Dziękuję za krotochwilę,
Bierz córkę i bywaj zdrów!
Chadidża wesoła,
Smutek spędza z czoła.
A Damian ucieszy się szczerze:
— Wybrałeś pakt zgody nie miecz,
W chrześćjańskiej utwierdzę cię wierze,

Pan Bończa do herbu przybierze,
A wszyscy rywale stąd precz!
Mknie panna jak strzała,
Z szczęścia oszalała.
— Niech troski cię, teściu, nie dręczą,
Że Ind się rozgniewa lub Pers,
Bielszczanie za całość gdy ręczą,
Spać możesz pod siatką pajęczą,
Bo wrogom twym żywot by zmierzł.
Na męża i pana,
Chce dziewka Damiana.
Już Wezyr pokornie zgiął brodę,
Eunuchy upadły do nóg,
A Osman wyciągnął jak kłodę
Swą rękę i przybił nią zgodę,
Bo lepszy zięć dobry niż wróg.
Wyciąga ramiona,
Chadidża spragniona.
Żal ojcu pożegnać niebogę,
Chce poznać Kędzierzyn i Bielsk,
Z Chadidżą wybiera się w drogę,
W haremie wołają na trwogę,
Gdzie w spazmach się wije sto cielsk.
Wróżka szczęście wróży,
Sułtance w podróży.
Przepadły już rajskie pieszczoty,
Gdy Osman w wędrówkę się wdał,
Bo proboszcz go chwyci w obroty
I będzie nakłaniał do cnoty,
Aż duszę mu skruszy na miał.
A Chadidża rada,
Do kolasy wsiada.

Ochota sułtańska skończona,
Bo lament podniosło sto żon,
A siłę kto taką pokona,
Nie podda się ani nie skona,
Jako Lewiatan jest czczon.
Chadidża popędza,
Do stuły i księdza.

III.

Płoną okna żarem w kędzierzyńskim domu,
Pisać o weselu, zabrakłoby tomu,
Wilga gości wita, do komnat zaprasza,
Wystrojony w turban jak libijski pasza,
A Janusz z Sękowa i Zyndram Brodaty
Rozścielili dywan i srebrne makaty,
Odczytują papier zapisany ładnie,
Jak młodzi w Multanach brali ślub przykładnie
Wśród grania organów i szumu atłasu,
Bo im szkoda było tracić w drodze czasu,
Odczytują gościom z wielkiem namaszczeniem
Jak sułtankę z Wilgą złączył ksiądz pierścieniem
I musieli sobie wierną miłość przysiądz,
Teraz i do zgonu i po wieków tysiąc...
Amen!

MARSZ NA WARSZAWĘ.

Od szyneczku do karczmy, a od karczmy do szynku
Maszeruje Kulkowski, jakby stąpał w ordynku,
Lewą nogą zacina, a na prawą kusztyka,
Nie wie nigdy co troska, we łbie gra mu muzyka.

Prawa ręka bezwładna, lecz dość silna jest lewa,
Kiedy praśnie majkutem chłop najtęższy omdlewa,
Szanowany jest przeto w Mławie, w Sierpcu, w Rypinie,
A choć mało się chwali, po miasteczkach wkrąg słynie.

Powiadają szynkarze, wszyscy wiedzą dokoła,
Że Kulkowski z kpem żadnym nie usiędzie do stoła.
Taka jego nawyczka, nie poradzi jak żywo,
Odkąd sam Pan Marszałek raz postawił mu piwo.

Gorzkie było i cienkie, zaprawione mętami,
Ale trudno mieć lepsze w karczmie pod Konarami,
Gdy zwaliła się wiara, puste brzuchy i grdyki,
By napełnić manierki i pociągnąć z dwa łyki.

A z tej karczmy już widna rozścieliła się droga,
Jednych wiodła do zwycięstw, drugich prosto do Boga,
I tym szlakiem Kulkowski powędrował zuchwale,
Wszystko jedno — gdzie — dokąd — na śmierć albo ku chwale.

I tak długo wędrował, że wspominek nie stanie,
Na Wołyniu, w Karpatach, pod Kaniowem, w Murmanie,
Wszystko jedno — gdzie, za co, dowojował się sławy,
Za to ręka obwisła, bok od pchnięcia dziurawy.

Z Moskalami się mierzył, z Prusakami, z Chińczykiem.
I szacunek wymuszał zdrową kulą lub sztykiem,
Raz jedyny się zachwiał, jeden punkt tylko słaby,
Żadną bronią nie może zawojować swej baby.

I wieś cała zaświadczy, jak Kulkowski się stara,
I nikt tego nie powie, że ciemięga, niezdara,
Ale baba wyrzeka i wciąż gada i miele,
A gadanie to gorsze, niż moskiewskie szrapnele.

I od rana do nocy, nawet we śnie, a gderze,
Lepsza palba granatów i najcięższe moździerze,
Więc Kulkowski się kręci, łeb opuścił i słucha,
Kiedy żona sobaczy i terkocze do ucha!

Tu przegapił, tam zbłądził, ciągle troska i szkoda,
Że deszcz pada zawinił, winien, iż jest pogoda,
Gdy przemówi to głupio, kiedy milczy nic nie wie,
Tak go żona strofuje po dobroci i w gniewie!

Więc, gdy wspomni jak grały nad głowami kartacze,
Za spokojem minionym omal bekiem nie płacze,
Aniołami się zdają dzikie szelmy i draby,
Gdy porówna ich z gębą rozwścieczonej swej baby.

Przeto poszedł do wójta i tak sprawę przedkłada:
Panie wójcie, coś zróbcie, niechaj baba nie gada!
A urzędnik się pyta, wybaduje, doradza,
A na końcu tłumaczy, iż nie jego to władza.

Trudno, nie chcą zaczynać, dobrze wiedzą jak szczwana,
A więc poszedł Kulkowski wprost do księdza plebana,
Ślub im dawał przed rokiem, w imię złączył ich Boże,
Niechaj teraz doradzi, niechaj teraz pomoże!

Proboszcz słucha i duma, w rozmyślaniach się biedzi,
Każe zmówić nowennę, potem iść do spowiedzi,
I nie śmiałby zaprzeczyć, że Kulkowski coś wskóra,
A tam baba tak gada, że na chłopie drży skóra.

Nie wytrzyma już dłużej, proboszcz gębie nie sprosta,
Może jeszcze poradzi w utrapieniu starosta,
A gdy w księgach poszpera, pewnie prawo wygrzebie,
Które babie pozwala mówić tylko w potrzebie.

Wypytuje starosta, spisał dziesięć arkuszy,
Kulkowskiemu współczuje, czasem nawet się wzruszy,
A na końcu wyrzecze: skarga bardzo ciekawa,
Lecz niestety w tym względzie, nie pomogą wam prawa.

Pozieleniał Kulkowski — złe porządki na świecie,
Skoro nikt się nie waży zamknąć gęby kobiecie,
Wiem już komu udrękę i mą krzywdę przedstawię,
Z miejsca ostro wykręcił, ruszył wprost ku Warszawie.

I przyjąwszy kierunek od karczemki do szynku,
Maszeruje Kulkowski już dwa dni bez spoczynku,
Nigdy trwogi nie zaznał, bywał wielki pyszałek,
Lecz drży, co przy raporcie powie mu Pan Marszałek.

Zamelduje posłusznie, jakby pośród okopów,
Aby raczył Marszałek pod opiekę wziąć chłopów,
I ogłosił rozkazem po wsi każdej i mieście,
Jakie prawo mężowe, a co wolno niewieście.

SEN GRZĘDOŁY.

Zasnął Grzędoła, smacznie chrapie,
Aż trzeszczą belki na pułapie
I trzęsą się wszyściutkie ściany,
Jakby waliły w mur tarany,
I z boku na bok się przewraca,
Taka to jego ciągła praca.

A gdy się zbudzi głośno ziewnie
I okiem rzuci w świat niepewnie,
Patrząc, czy słońce, czy deszcz pada
I szybko w barłóg znów zapada,
Gdy go ziewanie strasznie nuży,
Powoli oczy do snu zmruży.

Minęło lato i mróz siecze,
Z łoża się stary chłop nie zwlecze,
Bo tam na dworze dmie wichura,
Człek w takim czasie mało wskóra,
Więc lepiej, że w tej chrapie dobie
I śni: Na wiosnę wszystko zrobię!

I owóż wiosna targa ludzi,
Tylko Grzędoły z snu nie zbudzi,
Bo tak mu w duszy jakoś mrocznie,
Przeto niech krzynkę jeszcze spocznie,
Gdyż spanie go za oczy łapie,
Więc się przeciągnął znów i chrapie.

I śpi już tydzień, drugi, trzeci,
A słonko coraz jaśniej świeci,
Pąki puściła stara grusza
Ale Grzędoła się nie rusza,
Że przeszła zima, nie wie pewnie,
Bo czasem westchnie, czasem ziewnie.

Aż się wzburzyła złością Wisła
I wściekłą falą o brzeg prysła,
Wyrywa drzewa, skały kruszy,
Ale Grzędoły z snu nie ruszy,
Bo na bok drugi się przewraca,
Taka to jego ciężka praca.

I posmutniała bujna niwa,
Że nikt z sprzężajem nie przybywa,
Gdyż pan, czeladzie, domownicy,
Leżą wygodnie w swej łożnicy
I każdy chrapie, każdy sapie,
Aż deski trzeszczą na pułapie.

I pognewały się obłoki,
Piorun uderzył w dąb wysoki,
I zadudniały wszystkie ściany,
A dom się zatrząsł rozespany,
Wyjrzał Grzędoła w świat z alkierza
I własnem oczom niedowierza.

Bydło podniosło bunt w oborze,
W jarzmo się zaprzągł wół i orze,
Koniska same wzięły szleje,
Jeden bronuje, drugi sieje,
Stanął kulawy pies na straży
I jak ekonom gospodarzy.

Co się to dzieje, jaka rada?
A ziemia ciężką skibą gada,
Sypie się zwałem przez lemiesze,
Ku swej radości i uciesze,
Chociaż Grzędoła zaspał trocha,
Przecież to macierz, nie macocha.

TRĘBACZ.

Miał lat sto, może więcej, a raźny był choć stary
I grywał trębacz Musiał pobudki i fanfary,
Codziennie inną nutę na trąbie swej dobiera,
Lecz nigdy tej nie trafi, co grał dla l'Empereure'a.

Było to bardzo dawno, nikt z żywych nie pamięta.
Przez skały pirenejskie drożyna wiodła kręta,
Padł trębacz ugodzony i zbroczył krwią rabaty,
Któż sztabom miał oznajmić, że szwadron wziął armaty?

Więc Musiał wyrwał trąbę z mdlejących rąk kamrata
I zadął jako umiał na cztery strony świata,
Tak głośno i daleko, z radością, dumą, płaczem,
Iż cesarz go mianował przybocznym swym trębaczem.

I odtąd ponad życie ukochał swe rzemiosło.
I grywał, aż wiarusom z uciechy serce rosło,
Tak krzepko i tanecznie, że koń i piechur skacze,
Kiedy przed frontem zadmie ów trębacz nad trębacze.

Lecz raz miał sztab francuski nie mało z nim kłopotu,
Gdy cesarz kazał trąbić pod Moskwą do odwrotu,
Pomylił Musiał rozkaz, lub nie zrozumiał znaku,
Bo zadął z całej siły: En avant! Do ataku!

I odtąd wlókł się trębacz pomyłką srodze struty
I nigdy już weselszej nie zagrał wojskom nuty,
A gdy nad Berezyną kazano dać sygnały,
Tak zadął, że aż kruki żałośnie zakrakały.

A gdy już nie miał kogo zwoływać do szeregu,
Na pożegnalnym z bracią biwaku i noclegu
Rotmistrz Piwnicki przyszedł i wydał rozkaz krótki:
— Trębaczu, w Srebrnej będziesz grał apel i pobudki!

Odmówić rotmistrzowi nie wolno w żadnym razie,
Więc Musiał na Mazowsze pojechał po rozkazie
I grywał na swej trąbie fanfary i hejnały,
Aż ludzkie serca z trwogi, albo radości drżały.

Zaledwie noc przeminie i krasne słońce wstanie,
Po mazowieckich polach ogromne leci granie,
Aż z dźwięków człek niejeden zrozumie i odgadnie,
Co się nowego stało i czynić jak wypadnie.

Gra trąba trud i troski ogłasza ludzkiej rzeszy,
Niechaj ospalec wstaje, niemrawiec się pośpieszy,
Słuchajcie ludy kołem. — Musiała dech rozpiera —
Otrąbia po Mazowszu nowego szwoleżera.

Dziś w nocy się urodził, wiadomo jednak wszędzie,
Że skoro Mazowszanin za rok na konia wsiędzie,
Już pięści ma jak krzemień, a gnaty jak kowadło,
O biada, gdyby z takim potykać się wypadło.

Gra trąba, że zakwitła przepyszna ruń na łanie,
Iż ziemia ludziom rada trębacza głosi granie,
Aż nagle jękiem buchnie, pan rotmistrz wtedy każe,
Przy mazowieckich domach postawić czujne straże.

Wróg wciska się do chaty, wydzierca i niecnota,
A trąba ryczy gniewem i w gromki ton łomota,
I tak się długo sierdzi i do sumienia gada,
Aż pod Warszawą cała zebrała się brygada.

Więc wyśpiewuje Musiał, zagłusza radość ptaków,
Gdy zbitą ławą wali pod Grochów pułk czwartaków,
Same znajome chłopy, darmo nie dadzą swego,
Zmiłuj się nad ich dolą Panienko ze Skępego!

Gra trąba w dźwięk nieznany, nie wątpi, nie narzeka,
Ale do szpiku kości każdego przejmie człeka:
— Jak długo Wisła płynie i dokąd słońca stanie,
Tak długo wierni ziemi zostaną Mazowszanie!

W jesienny, chmurny wieczór, gdy wyszedł Musiał stary,
Aby otrąbić capstrzyk i zadąć w świat fanfary,
Pękło trębacza serce, strudzone niepomału,
Nim zdążył wygrać ludziom ostatni takt finału.

Umilkło biedne serce, okryte wieczną ciszą,
Lecz granie wrażej trąby baczniejsze uszy słyszą,
Gdy huczy w wichrzyc jęku i w szumie zbóż łopoce,
Przywodząc na Mazowsze marami ciężkie noce.

Gra grozę, w gruzy wali oziębłych serc wygodę,
Bluzgami krwi mamrota, wylicza trud i szkodę,
Nadzieją ruń zapłoni, roznieca zapał szczery,
Tak codzień gra widmowy trębacz z pod Somo-Sierry.

Niedawno w noc jesienną jak przed mnogiemi laty,
Buchnęła pieśń i wstrząsła do posad ludzkie chaty,
Triumfem krając niebo, grzmiąc radość aż do szału,
I zmilkła, dokończywszy zwycięski rytm finału.

BIBLIOTEKA W TORUNIU UNIWERSYTECKA

SPIS RZECZY

	Str.
Rozmowy z ziemią	1
Rapsod niebieski	2
Lodowa księżniczka	6
Ballada o grzesznej miłości i pokucie	10
Kolęda	14
Białe czarownice	19
Mocarze	24
Trzy zbójnice	29
Spowiedź Gozdawy	33
Romans Ludki	37
Nędza	43
Wojna pana Montwiłła	48
Śpiewanki pana Junoszy	52
Tańcujące anioły	57
Złoty wiek	61
Djable konkury	65
Krewni Domu Dawidowego	72
Podróż Szczęsnego Poboga naokoło świata	76
Swaty na sułtańskim dworze	79
Marsz na Warszawę	85
Sen Grzędoły	89
Trębacz	92

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

WITOŁD BUNIKIEWICZ

CUD MIŁOŚCI

Piękne wydanie na papierze bezdrzewnym. Okładka Tadeusza Lipskiego.

Cena zł 3.—

GŁOSY PRASY:

„Z tej tęsknoty do rzeczy minionych, z tego zapatrzenia się w oddalone cienie lat, które zbiegły w wieczność, narodziła się ballada dramatyczna „Cud miłości".

Kurjer Warszawski.

„Autor zawarł w niej niewyczerpane zasoby fantazji poetyckiej, ubranej w piękny, pełen świeżości rytm wiersza".

Express Poranny.

„Obok oryginalnej fabuły, „Cud miłości" utrzymany w tonie szlachetnego sentymentu, pisany jest wierszem gładkim, kunsztownym".

Rzeczpospolita.

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

KORNEL MAKUSZYŃSKI

PIOSENKI ŻOŁNIERSKIE

Piękne wydanie na bezdrzewnym papierze. Okładka Kamila Mackiewicza.

Cena zł 5.— w opr. 10.—

GŁOSY PRASY:

„Są one proste, jak proste jest życie żołnierskie, ale są w nich dwa skarby cenne — serce i dobry humor".

Kurjer Warszawski.

„Więc dał z siebie to, co mógł dać ziemi ojczystej najlepszego — dał piosenkę".

Rzeczpospolita.

„Piosenki te należą do najlepszych i kto wie, czy nie najtrwalszych utworów naszego humorysty".

Czas.

GUGLIELMO FERRERO
PRZEMOWY DO GŁUCHYCH

Autoryzowany przekład Dr. J. Kuryłowicza.
Wydanie na bezdrzewnym papierze.

Cena zł 4.—

GŁOSY PRASY:

„Przemowy do głuchych" stanowią niezmiernie interesującą i pobudzającą do myślenia lekturę".

Prawda.

„Jedna z najciekawszych, najgłębszych i najbardziej sugestywnych książek, jakie się ostatniemi czasy ukazały na widowni naszego piśmiennictwa".

Słowo.

„W słynnej pracy: „Przemowy do głuchych" znakomity autor „Wielkości i upadku Rzymu" odzwierciadla nam za pomocą silnych argumentów swój krytyczny pogląd na życie kulturalne i społeczne ludzkości"

Radjo.

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

Dotychczas ukazały się następujące utwory:

TOM
1. ROMAIN ROLLAND — Colas Breugnon.
2. RABINDRANATH TAGORE — Opowiadania.
3. MAURYCY MAETERLINCK — Życie pszczół.
4. BJOERNSTJERNE BJOERNSON — Synnvöe Solbakken.
5. RUDYARD KIPLING — Księga dżungli.
6. RABINDRANATH TAGORE — Rozbicie.
7. SELMA LAGERLOEF — Tętniące serce.
8. FRANCE — Poglądy ks. Hieronima Coignarda.
9. TAGORE — Sadhana — Szept duszy — Zbłąkane ptaki.
10. KAROL SPITTELER — Imago — Romans.
11. HENRYK PONTOPPIDAN — Djabeł dom. ogniska.
12. KNUT HAMSUN — Błogosławieństwo ziemi.
13. MAURYCY MAETERLINCK — Inteligencja kwiatów.
14. KAROL GJELLERUP — Pielgrzym Kamanita.
15. RUDYARD KIPLING — Druga księga dżungli.
16. RABINDRANATH TAGORE — Wspomnienia.
17. MAURYCY MAETERLINCK — Wielka tajemnica.
18. PAWEŁ HEYSE — L'arrabbiata — Nowele włoskie.
19. RUDYARD KIPLING — Stalky i. Sp.
20. KAROL GJELLERUP — Dojrzali do życia.
21. KNUT HAMSUN — Głód.
22. HENRYK PONTOPPIDAN — Ziemia obiecana.

TOM

23. KAROL GJELLERUP — Wędrowcy świata.
24. BJOERNTJERNE BJOERNSON — Tomasz Rendalen.
25. R. ROLLAND — Dusza zaczarow. I. Anetka i Sylwja.
26. VERNER v. HEIDENSTAM — Hans Aljenus.
27. R. ROLLAND — Dusza zaczarowana II. Lato.
28. PAWEŁ HEYSE — Wesele na Kapri. — Nowele włoskie.
29. SELMA LAGERLOEF — Gösta Berling.
30. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — Pęknięty dzwon.
31. GERHARD HAUPTMANN — Głupiec.
32. MAURYCY MAETERLINCK — Głos nieznany.
33. KAROL SPITTERER — Konrad porucznik. Gustaw.
34. MAETERLINCK — Mądrość i przeznaczenie.
35. KNUT HAMSUN — Kobiety u studni.
36. JACINTO BENAVENTE — Źle kochana.
37. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom I.
38. SELMA LAGERLOEF — Maja Liza.
39. RUD. EUCKEN — Wielcy myśliciele — Tom I.
40. RUD. EUCKEN — Wielcy myśliciele — Tom II.
41. YEATS — Opowiadania o Hanrahanie rudym.
42. GJELLERUP — Gdym po raz pierwszy ujrzał ją.
43. RABINDRANATH TAGORE — Gora.
44. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom II.
45. MAURYCY MAETERLINCK — Skarb ubogich.
46. RUDYARD KIPLING — Kim.
47. KAROL GJELLERUP — Młyn na wzgórzu.
48. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom III.
49. MAURYCY MAETERLINCK — Życie termitów.
50. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom IV.
51. RABINDRANATH TAGORE — Dom i świat.
52. SELMA LAGERLOEF — Charlota Loewenskoeld.
53. KNUT HAMSUN — Ostatni Rozdział — Tom I.
54. KNUT HAMSUN — Ostatni Rozdział — Tom II.

TOM

55. PAWEŁ HEYSE — Kleopatra i inne nowele.
56. R. ROLLAND — Dusza zaczarow. III. Matka i syn.
57. MAURYCY MAETERLINCK — Śmierć.
58. RABINDRANATH TAGORE — Zerwane pęta.
59. KNUT HAMSUN — Misterje.
60. BERNARD SHAW — Miłość wśród artystów.
61. RUDYARD KIPLING — Światło, które zagasło.
62. GRAZIA DELEDDA — Tęsknoty.
63. HENRYK PONTOPPIDAN — W czepku urodzony I.
64. HENRYK PONTOPPIDAN — W czepku urodzony II.
65. MAURYCY MAETERLINCK — Życie przestrzeni.
66. GRAZIA DELEDDA — Annalena Bilsini.
67. KNUT HAMSUN — Włóczęgi.
68. SELMA LAGERLOEF Anna Svärd.
69. RUDYARD KIPLING — Gawędy z pod Himalajów.
70. GERHART HAUPTMANN — Wyspa wielkiej matki.
71. RUDYARD KIPLING — Kapitanowie-zuchy.

BIBLIOTEKA U TORUŃSKIM UNIWERSYTECIE

162572

Biblioteka Główna UMK
300001009948